

# Kamena

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Białystok - Kielce - Lublin - Rzeszów

korespondencja z ZSRR, specjalnie dla „Kamena”

ANATOL  
GORDIENKO

## O G N I A !

opowieść czolgisty - wyzwoliciela Lublina

**T**RAFIŁEM do niego właściwie w sposób nieskomplikowany. W komisariacie wojskowym otrzymałem adres. Odnalezienie domu nie należało do trudności. Był to wielki, pięciopiętrowy, półkolisty budynek w centrum miasta.

Z bijącym sercem naciskałem guzik dzwonka. Drzwi otworzył niewysoki i niezbyt barczysty mężczyzna. Ubrany był w krótką, podniszczoną domową kurtkę i młoką, prążkowaną koszulę.

Ale rozmowa między nami, właściwa rozmowa, nie doszła tego dnia do skutku. Stało na tym, że wybieramy się nazajutrz razem na ryby.

— Ależ was ciężko namówić — gderał przy tym Afanasjew. — A gdzież nam się lepiej porozmawia? Tylko na takiej wiosennej wyprawie. Wszystko ożywa. Posiedzimy we dwójkę, nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Pojechaliśmy do jego córki, Ludmiły, młodej, przystojnej dziewczyny. Pracowała jako felczer w niewielkiej osadzie wśród lasów.

— Pięknie tutaj. Żyć, nie umierać! — oderwał się nareszcie od swoich wędek Aleksiej Nikolajewicz.

— A kto by teraz umierał — odparłem beztrząsco.

— Mądrze umierać nie żal. Można... Ale bywa i tak, że niektórych

śmierć się w ogóle nie ima. I chyba ja też się urodziłem pod szczęśliwą gwiazdą — uśmiechnął się Alek-

nim uciekała przed kulami, znalazł się po nalocie Aleksieja. Nie rzucał się. Po prostu... zasnął.

Wiele lat później, kiedy Afanasjew służył już w wojsku, uratował mu życie... zegarek noszony w lewej kieszeni bluzy. Podoficer fiński, który mierzył prosto w serce, onieміał, widząc, że „pewny trup” zrywa się z ziemi...

A znowu podczas ostatniej wojny, było to pod Siedlcami, cudem ocalały niemiecki czolgista, wydostał się ze swojej płonącej maszyny, podpełził do grupy czolgistów radzieckich, którzy odpoczywali po walce, a potem... jedna z jego kul wytrafiła Afanasjewowi kubek z reki i trafiła w głowę, siedzącego obok, celowniczego Trofimowa.

Czasami śmierć wynajdywała sobie scenę zupełnie absurdalną. Kiedyś na przykład Aleksiej o mały włos nie utonął w oczach całego pułku, kiedy podczas przeprawy przez płytką rzeczkę, jego czoląg wpadł nagle do ogromnego leja po bombie.

Radziecki dziennikarz, Anatol Gordienko, odnalazł w ZSRR człowieka, którego czoląg w dniu 23 lipca 1944 r. uderzył pierwszy na ulice Lublina. Aleksiej Nikolajewicz Afanasjew mieszka obecnie w Pietrozawodsku. Ma tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Otrzymał go za wyjątkowe zasługi w walce o wyzwolenie Lublina.

Poniżej drukujemy obszerny fragment reportażu o A. N. Afanasjewie, nadesłanego nam przez red. A. Gordienkę.

(RED.)

siej Nikolajewicz. — Mnie śmierć omija. Bywało, że tuż obok przeszła, zimno poczułem, w oczy mi zajrzała i dalej poszła sobie.

Po raz pierwszy zetknął się Afanasjew ze śmiercią w 1920 roku. Miał wówczas cztery wiosny. Rodziną Karelię usiłowali opanować Anglicy. Któregoś dnia nad wioską nadleciał samolot, zaczął strzelać. Wybuchła panika. Padli zabici i ranni.

Pod zwłokami kuzynki, która z

Na Lublinie!

Ale mnie najbardziej interesowała historia walk w Lublinie. Aleksiej Nikolajewicz posperiał w portfelu i oto trzymam w ręku wyblak-

(Dokończenie na str. 3)



STO LAT!

6 lutego 1965 r. I sekretarz KC PZPR tow. Władysław Gomułka obchodził 60 rocznicę urodzin.

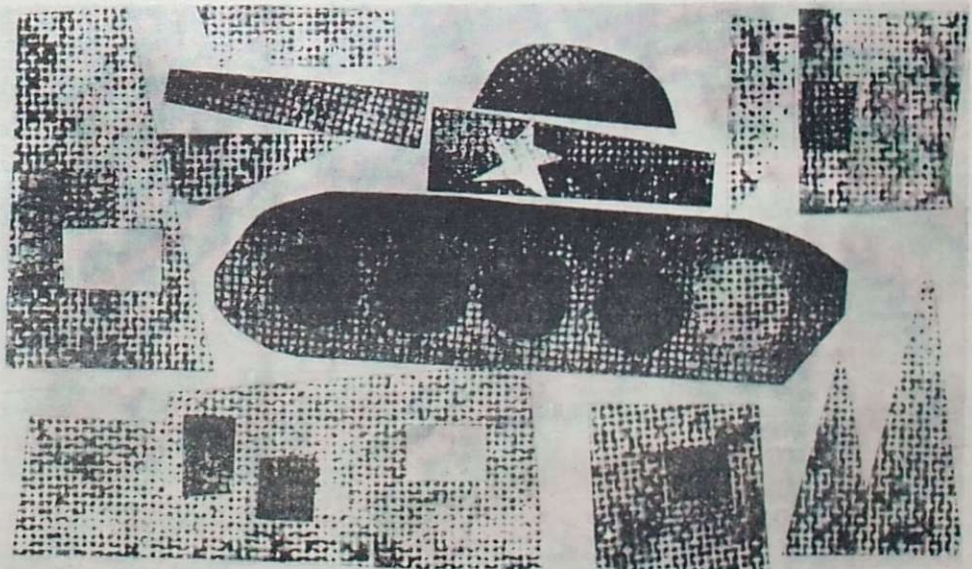
## Współpraca czterech

ZBIGNIEW FRĄC

Kierownik Wydziału Kultury  
Prez. WRN w Lublinie

**W**SPÓŁPRACA czterech województw Polski wschodniej w dziedzinie działalności kulturalno- oświatowej, zapoczątkowana w październiku 1961 r. formalnym porozumieniem wydziałów kultury PWRN Białegostoku, Kiele, Lublina i Rzeszowa, rozwijana i doskonalona bez mała już 4-letnią praktyką — jest jednym z tych zagadnień, którego celowości i dobrodziejstw nikt nie kwestionuje. Podjęta bowiem w wyniku tego porozumienia idea współdziałania dała działaczom kulturalnym szansę szerokiej wypowiedzi w zakresie metod i form upowszechniania wartości kulturalnych, wypowiedzi, których troską była nie tylko aktualność lecz też przyszłość życia kulturalnego w najszerszym tego słowa rozumieniu. Pozyskanie dla tej idei wielu środowisk twórczych i szerokich kręgów społecznych (vide: międzywojewódzka narada stowarzyszeń społeczno- kulturalnych — marzec 1963 r., międzywojewódzka konferencja SD w sprawie współpracy

(Dokończenie na str. 2)



Rys. Krzysztof Kurzątkowski

## Nie mój Dunajec...

Nie mój Dunajec szumi mi,  
nie moja bystra woda,  
tylko przychodzą stare sny —  
swoboda — oeh! swoboda!...

Nie przypominaj mi się śnie  
młodości mojej zdrowej,  
bo mi żal w piersi duszę rwoie  
nad siłę ludzkiej mowy!

Nikt tak nie kochał smolnych wiatr,  
trasku i dymu stosów,  
i nikt znał głuchych szczytów Tatr  
patrzących w dół niebiosów...

I w świecie nikt nie kochał tak  
samotnej skalnej drogi —  
urwisł, gdzie w dole buja ptak  
i groza pięści nogi!...

## Śpiący rycerze

(Jakby o nich chłop opowiedzieć powinien)

O zaśniomy rycerzak opowiadaj, że majom być  
kajsi zaśniomi w Giewoncie. Konie hań stojom przy  
złobak, bo ig hań widział kowal, Fakla, co ig kuł. Bo  
sie im podkowy psujom i przekućać ig trzeba.

Janiol po tego Fakle do wsi w Kościeliska hodził  
kieleka razy za jego zycobyćcia.

Jest hań grota niezmierna, ciemna, ino nie kaganki  
świećcom po ścianak. Ci rycerze śpiom, a co dziesięć  
lat to nostarzą pomiędzy niemi podźwigujom głowe i  
pyto sie janiola, co ig pilnuje:

— Cy juz cas?

I sytka rycerze podźwigujom głowe w hełmak ze-  
laznyk, ale janiol odpowiadom:

— Nie. Spijcie.

I śpiom dalej.

Nad niemi jest skala wielga i głęboko do ziemie  
trza iść ku nim. Ino ze hań nie trefi jacy ten, co go  
janiol pilnujący powiedzie.

Jo se to nieroz myślom i myślom se; moze to i być.  
Faklek znał i słyszał, jako opowiadom.

Jo se to nieroz myślom i myślom se; moze to i być.  
Mozom być zaśniomi rycerze w Giewoncie, bo sytka w  
Boskiej moey.

Ale se i to myślom kie niekie, ze wto wie, jako to?  
Cy som nie jest w nuskik hłopskik pieratak zaśniomi  
śpiący rycerze i cy to pote ta skala, kany śpiom, to  
nie my?...?

## Babski wybór

Był w jednej wsi gazdowie bardzo bogaci, mieli  
syna jedynaka i chcieliby go strasznie dobrze ożenić.  
Ale wybór był trudny, bo się dziewki pchały jedna  
przez drugą i każda swoje cnoty przedstawiała.

Aż raz powiada baba do chłopca:

— Wiés, Wojtek, tak nie zrobimy nic. Nie poznas  
clowieka, ino wtedy, kie nie wiés, ze na niego pa-  
trzyś. Oblec się za dziada i pomiędzy hałupy idź —  
wtora cie dziewka nalopi obdarzy, s tom naszego Kube  
ozenić. Bedzie nolepsza.

Zwidziolo sie to chłopca, ta babska rada, wziął sta-  
rą czuchę, latane portki, wziął na plecycy torbę, w rękę  
kij i poszedł. Rzekomom dziać.

Idzie pomiędzy chałupy, chodzil cały dzień, wrócił  
wieczorem i siada na ławie zmartwiony, a gębę miał  
z jednej strony spuchniętą.

— No cos? — pyta się go baba — wtoraż ci się na  
niewlaste udać?

— He — powiada chłop — obiór trudny. Zaselek  
ku pierzej; dała mi spyrki, zaselek ku drugiej; dała  
mi obrazek świecony, zaselek ku trzeciej; wyprala  
mi kosule — cos teraz wiés? Jedno scodra, drugo na-  
bozna, trzecio robotna — syćkie dobre.

— Hm — mrugnęła baba. — Iści ze obiór trudny...  
Ale cos ci to, co mas gębę spuchniomom?

— E, to nie, ani gwary nie warce. Zaselek ku  
scwortej, dała mi w pysk — powiada chłop.

A baba jak nie skoczy z ławy, jak nie krzyknie:  
— E, głuptaku jeden! Nie gadas nic? I jescie mede-  
tujesz?! Jedy to tak, jakby ci sam Pon Jezus przeno-  
śliwenty z nieba palecom pokazał!

(Na Skalnym Podhalu)

## Mój Tetmajer

Po raz pierwszy zetknąłem się z  
pisarzem w roku 1913 w Zako-  
panem. Zetknąłem się nie tyle  
osobiście, choć matka pokazała mi na  
ulicy pana w ciemnych okularach  
nabożnie szepcząc: „To Tetmajer”, le  
poprzez jego nowelę „Na skalnym Pod-  
halu”. 15-letni chłopiec, w którym  
bakeł górski dopiero się zaczął roz-  
wijać, nie potrafił jeszcze w pełni ocie-  
nić tych opowiadań.

Pierwsza wojna światowa zapędziła  
mnie na Ukrainę, gdzie poznałem gorzki  
smak nostalgii. A Polska dla mnie  
utożsamiała się z Tatrami i toteż i-  
h szczytów symbolizowała tworzącą się  
niepodległość. Ale dwukrotnie w kolej-  
nych latach odbywane wędrowki ta-  
trańskie były tak daleko! I oto ra-  
dosna niespodzianka: Tetmajer w bi-  
bliotece. „Legenda Tatr” w szacie ro-  
syjskiej. Dziwaczne nazwy: Janosik  
Nendza Litmanowski, Marina iz Gru-  
bago, Czornoje Oziero. A przeciw spo-  
za tych egzotycznie brzmiących słów  
otwierały się oczom serdeczne, znane  
obrazy. I nie było Ukrainy, ani „sum-  
skiej aleksandrowskiej gimnazji”, nie  
było wojny i szpitali przepelnionych  
rannymi, tylko Maryna zapatrzyła się  
w czarną toń stawu, Janosik chylił się  
nad kopczykiem dziecięcia w Batyżo-  
wieckiej, a Sahlik gasnącym spojrze-  
niem żegnał oblodzone Tatry.

Tak więc „Legendę Tatr” czytałem  
po raz pierwszy w przekładzie. Oczy-  
wiście ginał w nim orok nieprzetlu-  
maczalnej gwary. Później wielokrotnie  
wracałem do tej zawsze urzekającej  
mnie dziełki, która wole od nie wzię-  
tych przeciwień niekiedy opowiadań „Na skal-  
nym Podhalu”. A porwał mnie w niej  
nie tylko lud podhalański, romantyzm  
życia harnasiów i okrutna nieraz oby-  
czajowość górall, nie tylko majestat  
Tatr tak wspaniale przez poete odda-  
nych, ale i ezolowa obok Janosika po-  
stać przywódcy ludu, nieszczonego re-  
bellanta Kostki Napierskiego, wczes-  
niej występująca w dramacie Kaspra-

wieza i powieści Orkana, ale nigdzie  
tak przekonująca jak u Tetmajera.  
Przed laty, po ukazaniu się „Stowa o  
Jakubie Szeli” Jasińskiego i „Janosika



Kazimierz  
Przerwa-Tetmajer  
(1865-1940)

z Tarhowej” Dobrowolskiego, pomyś-  
lałem sobie, że osoba rzekomego syna  
królewskiego, walczącego o sprawied-  
liwość społeczną, z pewnością bardziej  
jest godna poematu, który, jak dotąd,  
poza nie ogłoszoną drukami próbą  
Marii Szczepowskiej, nie został napi-  
sany.

A liryka Tetmajera, którą rozpoczy-  
nał swoją twórczość. I znowu nie me-  
lancholie i nirwany, nie anioły pań-  
skie i osmętnice, nie laki mistyczne,  
a także i nie kobiety mdlejące w ob-  
jęciu i nie namiętności szalone orkany,  
ale przede wszystkim tatrańskie wier-  
sze poeły poświęcone góróm, które „nad  
wszystkimi i nad wszystko” umiłowal,  
ostaty się latom niezniszczalne, wia-  
żąc świecie i niewolące swoją urodą. Chy-  
ba do żnndnego poeły Tatr nie wraca  
się tak chętnie, jak do autora „Kościel-  
lik w noey”.

A twórcą tych pięknych wierszy,  
opowiadań i powieści jakże tragiczny  
miał żywot! Jakim spletem przejmuj-  
jących kontrastów była jego egzysten-  
cja! „Panicz ludzmiarski”, zdobywca  
nowych szlaków tatrańskich, pełen  
młodzieńczych sił miłośnik wierzch-  
ców, hal i strumieni — po dziesiąt-  
kach lat na pół ociemniały, chory czo-  
wiek, dla którego ten górski świat,  
z którym zrół się od dzieciństwa, stał  
się niedostępny. Pięćca miłośnik zmy-  
słowej, poeta, za którym szalały ko-  
biety, stwierdza wreszcie, że „jednej  
kobiety nie zostawia w drodze, są ja-  
kieś cienie” tylko. A umiera w strasz-  
nych okolicznościach wojennych, w  
całkowitym osamotnieniu. Ojciec za-  
kochany w swym „synku”, któremu  
poświęcił wstrząsające strofy nazywa-  
jąc go „dzwignia życia” swego i „ce-  
lem duszy”, którego chciał widzieć „ry-  
cerzem bez skazy i bez trwóg”, docze-  
kał się tego, że ten „rycerz bez skazy”  
stał się zmurą życia starego poeły. W  
przystępie rzadkiej szerości Tetma-  
jer wznął kiedyś Edwardowi Kozio-  
kowiemu („Między prawdą a plot-  
ką”), że syn „przywiałował go w cza-  
sie snu do łóżka” i zabierał ojcę  
wszystkie pieniądze. W końcu też przyp-  
rawił go o ostre ataki manii przesła-  
dowej.

Oto jak straszliwie „rozpiął się los”  
nad wspaniałym poetą...

K. A. J.

Współpraca  
czterech

(Dokończenie ze str. 1)

kulturalnej — październik 1964 r.)  
pełna jej aprobaty ze strony władz  
partyjnych i administracyjnych czte-  
rech województw, to dalsze istotne  
elementy programu współdziałania.

Program ten odpowiadał najpilniej-  
szym potrzebom całego regionu te-  
części naszego kraju, której różne i  
niebagatelne trudności są wyznacznik-  
kiem wspólnej inicjatywy i świadoma-  
śel faktu, że wzajemna pomoc jest ta-  
niezbędna. Rejestrując zjawiska ogólnie-  
niejsze można stwierdzić: współdziałanie  
nie jest zjawiskiem stałym, zapuścić  
korzenie stabilności, choć przebiega w  
różnych okresach z mniejszym lub  
większym napięciem. Nadto można  
chyba mówić, że międzywojewódzkie  
kontakty pozwoliły wyrażnie ujawnić  
wiele ważnego i różnorodnego mate-  
rialu oraz doprowadzić do sformu-  
wania pierwszych uogólnień, ukazują-  
cych konieczność wewnętrznych po-  
wiązań regionu, dźwignącego się na  
określony poziom cywilizacyjny, ale  
szukającego wciąż doskonalszych form  
działania.

Odnajmy też: współpraca zrodzi-  
ła szereg trwałych faktów kultural-  
nych. Precyzowane na okresowych na-  
radach, spotkaniach i konferencjach  
zainteresowanych stron zamierzenia i  
działania, przy jak najczystszej  
stosunku Ministerstwa Kultury i Sztu-  
ki, sprzyjały koordynacji niektórych  
poczynów w zakresie upowszechnienia  
kultury i oświaty oraz wymianie do-  
świadczeń. Przypomnijmy tylko rok  
1964: konferencja na temat muzealnictwa  
regionalnego, wystawa sztuk  
ludowej czterech województw, chelmska  
sesja naukowa poświęcona okresowi  
PKWN, festiwal orkiestr symfonicznych  
Polski wschodniej — oto niektóre  
akcje wynikił z niezwykłą cen-  
no w naszych warunkach współpracy.

Nie tu co prawda miejsce na szer-  
sze omówienie dorobku naszych wo-  
jewództw w podniesionej kwestii, ale  
odwołajmy się do jeszcze jednego  
sposreżenia. Nasze województwa ma-  
ją określone potrzeby kadrowe. Im-  
port kadr z wykształceniem wyższym  
z innych ośrodków naukowych mógłby  
jedynie w znikomym stopniu pokry-  
wać te potrzeby. Możliwość, którym  
dysponuje lubelski ośrodek naukowy,  
stwarzają w tej mierze obiektywne  
przesłanki do jeszcze pełniejszej  
związania również i tej sfery wsóln-  
naw. Już teraz ponad 20 proc. osób  
studentów lubelskich rekrutuje się z  
trzech sąsiednich województw, a ten-  
dencje do trwałego powłazania ich z  
macierzystymi województwami przy-  
brały wyraz zorganizowanych kontak-  
tów i zostały utrwalone powołaniem  
międzyuczelnianego kola studentów  
trzech województw.

Potrzeby przemysłowego współ-  
działania w tej dziedzinie ostro rysują  
się jeśli idzie zwłaszcza o kształce-  
nie kadr kulturalnych. Jest to sprawa  
nie uregulowana konsekwentnie w  
skali całego kraju. Stosowane dotych-  
czas tu i ówdzie półśrodki są dalekie  
od zaspokożenia potrzeb i aspiracji. O  
dużej aktualności tej kwestii świadectw  
wypowiadane przy wleu okazali Her-  
ne, opinie, głosy itp. M. in. „Zwie-  
lteracnie” z 7.II. br. przynosi na sygn-  
browany temat artykuł z Rzeszowa.  
Kielce i Białystok mają przypuszczalnie  
nie analogiczne kłopoty. Nie są to więc  
trudności jednego tylko województwa.  
Powielone stała się już problemem  
szerszym, którego uregulowanie wy-  
maga określonej decyzji, jakiegosi  
sądnego przejrzenia odnośnych  
przepisów i weryfikacji stanowiska w  
szerze przygotowywania kadr.

Sądze, że celowe będzie uzupełnie-  
nie tych kilku uwag w przedmiocie  
współdziałania naszych województw  
jeszcze jednym akcentem. Wydaje mi  
się, że dotychczasowa współpraca w  
zasadniczym stopniu przebiegała w  
plaszczyźnie kontaktów placówek w-  
wodowych: teatrów, uczelni, muzeów  
itp. Ta forma, niejako styku urzęd-  
wego, oficjalnego, łatwiejsza z pewną  
ścia do realizacji, powinna być chyb-  
nieznacznie mocniej potęgowana współ-  
działaniem społecznego ruchu kultural-  
nego, który — i to już ostatni punkt  
stulat — musi wypowiedzieć się po-  
wszechniej i pełniej.

Zbigniew Frąć

# OGNIA!

opowieść czołgisty - wyzwoliciela Lublina

(Dokończenie ze str. 1)

lą kartkę papieru. Czytam trochę niewyraźne linijki pisma:

„Bohater Związku Radzieckiego, Aleksiej Nikołajewicz Afanasjew.

Za Waszą bohaterką postawę podczas wypełniania zadań bojowych na froncie walki z niemieckim najezdźcą Prezydium Rady Najwyższej ZSRR zarządzeniem z dnia 22 sierpnia 1944 roku przyznało Wam tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

— Jak to wszystko wyglądało? Jak to było po kolei?! — myśli głośno Aleksiej. Przed chwilą powiedziałem mu, że prasa doniosła iż hitlerowcy chcieli wysadzić w powietrze centrum Lublina. Teraz, w kilkanaście lat po wojnie, podczas prowadzenia wykopów pod nowy dom towarowy odkryto zapomniane piwnice, a w nich kilkanaście wagonów amunicji i materiałów wybuchowych.

— A, dranie! — wybuchnął Afanasjew. — Gdybyśmy wtedy spóźnili się o kilka dni...!

I nagle popłynęła wartko opowieść o tym, jak 8 korpus czołgów sunął naprzód z hasłem: Na Lublin!

— Ostatni odcinek naszego maszu na Lublin rozpoczęliśmy nocą z 21 na 22 lipca. W ulewnej deszczu, wiejskimi drogami, przeszliśmy około 60 kilometrów. Pamiętam, że forsowaliśmy też jakąś rzekę. Jechaliśmy z odkrytymi lukami. W czołgu było duszno. Smierdziały spaliny.

Deszcz nie ustawał. Rankiem, 22 lipca, na horyzoncie ukazał się Lublin. Blżej, we mgłę, widać było jakieś zabudowania. Byłem potwornie wyczerpany. W dodatku; jako dowódca czołgu, musiałem właściwie przez cały czas tkwić na zewnątrz wieży i przemokłem do nitki.

Nieoczekiwanie wspiął się do mnie radiotelegrafista Ibrahim Magnuszew. Meldunek jego był zaskakujący: nasza radiostacja nie działała. A właśnie dowódca 3 batalionu czołgów, major Kunilin, dał rozkaz natarcia!

Najpierw poszły czołgi starszego lejtnanta Młkowa. Na pełnym gazie wyskoczyły na wznesienie, za którym rozpoczynały się jakieś błota i płynąca rzeczka.

Niemieckie działka przeciwpancerne uderzyły od miasta ogniem ryglującym. Udało im się. Przyłożyli nam nieoczekiwanie. Zapalił się jeden czołg, drugi, trzeci, czwarty! Wszystko to w ciągu kilku sekund!

Kiedy mój czołg wypadł na otwartą przestrzeń, zobaczyłem przed nami most. Ale ani jedna maszyna nie zdołała się przezeń przedrzeć do miasta.

## Dwa czołgi przeciw miastu

Pędzimy na most. Prawie deptając po piętach idzie za nami maszyna lejtnanta Maryszewa. Most nagle zaroził się od hitlerowców. Dają jedną i drugą serię z wieżowego cekaemu. Raptiem cały czołg zatrząsł się od strasznego uderzenia. W czołgowy pancerz walał pocisk, ale, na szczęście, zsunął się po nim i poszedł w bok rykosztem. Po chwili meldują mi, że zaczęła pracować radiostacja. Widocznie od wstrząsu coś się w niej zreperowało. I zaraz rozległ się głos dowódcy pułku: — 164, całą naprzód! Naprzód gwardziści! To właśnie nasz czołg nosił numer 164!

Niemieckie działa kropią do nas, ale jesteśmy już na moście! Za nami tuż Maryszew! Ledwo wyskoczyliśmy na drugi brzeg, gdy nastąpił wybuch. Faszysti zdążyli wysadzić most.

W ten sposób zostaliśmy z Maryszewem. Dwa czołgi przeciw całemu Lublinowi. Wpadliśmy w jakąś ulicę, uderzyli na baterię, która ostrzeliwała wznesienie. Rąbnęliśmy pięć „rozrywających” i bateria zamilkła. Z prawej strony zaczął nas ktoś ostrzeliwać z kulomiotu. Zniszczyliśmy i kulomiot. Teraz przyszła kolej na drugą baterię, która ulokowała się z prawej strony mostu. I z tą poradziłam sobie jakoś. A w radio znowu głos dowódcy pułku: — „Naprzód, chłopcy! Jesteście pierwsi w Lublinie! Walcie hitlerowców!”.

I bez tego wiedzieliśmy, że Niemców trzeba bić i nie odstępować. A i powrót mieliśmy odcieć. Kłopot był inny: miasto nieznane, nie starczyło nawet czasu na obejrzenie mapy, rozpoczęliśmy przecież walkę przodu z marszu.

Skradaliśmy się ostrożnie. Wyglądamy na lewo, widać grupę niemieckich piechurów. Przygrzaliśmy im. I oto przed nami główna ulica miasta.

Podniosłem luk. Rozejrzałem się. Pusto. Miasto wydawało się wymarłe. Jedziemy więc tą szeroką ulicą, strzelamy, „siejemy panikę”. Od rozpoczęcia ataku upłynęła godzina.

W pewnym momencie zorientowałem się, że czołg mojego komendanta, Maryszewa, został gdzieś w tyle. Nawołuję go przez radio. Odpowiadają, że maszyna uszkodzona, a dowódca poległ.

— Przejmuję dowództwo — krzyknąłem. — Idźcie za mną!

## Prosto na wroga

Z narożnego domu wyskakuje mężczyzna z biało-czerwoną opaską na rękę:

— Towarzyszu — woła do mnie — jestem polskim partyzantem. Jedźcie warszawskim traktem (prawdopodobnie chodzi o Al. Raławickie — przyp. red.) tam uciekają hitlerowcy. Cała wielka kolumna piechoty! Szybciej, towarzysze!

Ruszyliśmy ostro. Luku nie zamykam. Stoje do pasa prawie wychylony z wieży. Z boku sypnęły się jakieś strzały — ani nas to obeszło. Jeszcze moment i wypadamy na jakiś półokrągły plac.

Nagle znaleźliśmy się twarzą z twarzą z Niemcami. Polak-partyzant miał rację — kolumna nie miała końca: samochody, moździerze, działa, konie, piechota... Już nie jedziemy, mkniemy na nich, a oni... stoją spokojnie, przyglądają się nam. Nikt nie strzela. Po prostu nie przyszło im nawet do głowy, że Rosjanie mogli się przedrzeć do miasta. A z drugiej strony, mój czołg, mało się różnił od niemieckich. No i faszysti myśleli, że jadą swoi.

Z największą możliwą szybkością czołg wpada na kolumnę. Walimy z działka, strzelamy ze wszystkich maszynek, miażdżymy. Oto już czołg przejechał się chyba po czterech działkach, dziesięciu autach, ubiliśmy z setkę faszystów, a gdzie nam jeszcze do końca kolumny!

Sam nie wiem, jak nagle znaleźliśmy się gdzieś po drugiej stronie miasta. Z daleka widać nieprzyjacielskie czołgi. Cóż było robić? Za-



A. N. Afanasjew wśród młodzieży szkolnej

wróciliśmy i znowu przejechaliśmy po kolumnie. Tylko, że tym razem nie szło tak łatwo. Resztki piechoty ochłonęły już z przerażenia. Obrzucano nas granatami, padło kilka wystrzałów z pancerfausów. Ale i tak zniszczyliśmy jeszcze 3 karabiny maszynowe i ze 30—40 hitlerowców rozstało się z życiem.

## Łyk wina

Wykręciliśmy gdzieś w boczne uliczki, żeby chwilę odetchnąć, rozejrzeć się w sytuacji, ująć przed narastającym ogniem. Spojrzałem na zegarek: byliśmy już od czterech godzin na ulicach Lublina!

Zatrzymałem czołg obok niewielkiego domku. Wybiegają z niego kobieta i mężczyzna, widzą, że jesteśmy cali osmaleni od ognia, mokrzy od potu... Jak nas witali? Nie zapamiętałem tego. Zapamiętałem, że przynieśli wodę do mycia, częstowali winem z butelki oplecionej siłowiem... Spojrzałem na czołg. Widniały na nim plamy krwi. Kobieta przyniosła w fartuchu piasek i zaczęła posypywać nim naszą maszynę.

A celowniczy Zylin naliczył w pancerzu około dziesięciu wgnieceń i przestrzelin...

## Tu nas dosięgli

I oto znowu jedziemy przez miasto. Wpadamy na jakiś półokrągły plac.

Tu nas dosięgli. Stała przy tym placu wielka kamienica, w której prawdopodobnie mieścił się sztab niemiecki. U wejścia do sztabu — buniery. Z takiego bunkra trafił nasz czołg. Pękła gąsienica, nie można ruszyć z miejsca. Kręcimy się w kółko, a oni biją raz po raz po maszynie! Jeszcze zdolaliśmy rozwalić z działka jeden bunkier, ale już kostucha tyła na nas okiem! W czołgu pojawił się dym. Nie wydobywał się jednak z motoru. Pełzł z góry, przez otwarty luk. Wyrzalelem — płonęła beczka ze smarami, przymocowana z tyłu, za wieżą. Blyskawicznie uświadomilem sobie, że jeśli płonący smar dostanie się do motoru, czołg zamieni się w słup ognia. Niewiele myśląc, wyskoczyłem z wieży i zacząłem nogami spychać płonącą beczkę.

Nagle — straszliwy wybuch! Pamiętam tylko, że uniosłem się miękko w powietrze...

Ocknąłem się w szpitalu, w wólnym już Lublinie. Byłem poparzony, odniosłem liczne kontuzje. Opo-

wiedziano mi, że podmuch powietrza (eksplozował nasz czołg) odrzucił mnie bardzo daleko, że znaleźli mnie leżącemu bez ducha jacyś przechodnie i odnieśli do szpitala wojskowego.

Był 23 sierpnia. Ktoś w sali szpitalnej czytał głośno gazetę. Leżałem i słuchałem jednego komunikatu po drugim... Nagle padło moje nazwisko. Zerwałem się z łóżka, podszedłem do czytającego, wyciąłem mu z ręki gazetę. Przyznawano mi poziom i e r t n i e tytuł Bohatera Związku Radzieckiego!

## Powrót

Zwolna szedłem jakże znajomymi ulicami. Oto i plac. Półokrągły. Stoł na nim nasz czołg. Pęknięty na dwa, wypalony, do niczego niepodobny! Wieżę odrzuciło od czołgu. Leży chyba z pięćdziesiąt metrów dalej. Podchodzę do wieży i widzę obok drewnianą tabliczkę:

„Zaloga tego czołgu, pierwszego, który wdarł się na ulice Lublina — głosi napis — zginęła śmiercią bohaterką.

Wieczna chwała czołgistom: młodszemu lejtnantowi Aleksiejowi Afanasjewowi, mechanikowi-kierowcy Aleksandrowi Jawkiewicz, celownicemu Nikołajowi Żylinowi.

strzelcowi Ibrahimowi Magnuszewowi.

Spijcie spokojnie, drodzy towarzysze. Pomścimy Was!”

I nawet pomimo urzędowego stwierdzenia zgonu i tym razem zostałem przy życiu — śmieje się cicho i trochę przekornie Aleksiej Nikołajewicz.

Słońce już nisko nad horyzontem. Nie wiadomo, kiedy minął cichy, wiosenny dzień.

— A po nocach śnią się wam boje? — zapytałem zaczepnie.

— Nie. Śnią mi się już tylko nasze lasy brzoźowe, sine zagajniki, ptaki krążące nad drzewami. Zaraz po wojnie anił mi się często Lublin. Pełno w nim skwerów, zieleni; kościoły, mury stare... A i teraz, od czasu do czasu, zdarzy się, że spaceruję po tym mieście. Idę ulicami odświętnie ubrany i... młody! Znowu jestem młody...

— A tak, w rzeczywistości, chcielibyście odwiedzić Lublin?

— Czy bym chciał? Któż nie wraca chętnie do miejsc, w których przeżył kawał życia? A ja tam, bracie zaraz pierwszego dnia przyleciałem, ile kto inny i w ciągu setki lat nie przeżyje!

Spolszczył:  
Miroslaw Derecki

## ANNA KAMIENSKA

KRYTYCY coraz częściej używają terminu neoklasycyzm lub klasycyzm dla określenia pewnej tendencji poezji współczesnej. Chodzi tu o młodych poetów, którzy przeciwstawiają się swą poezją zarówno drodze poetyckiej Różewicza, jaką wybierało wielu do niedawna debiutantów, jak i przykładowi poezji Przybosa. Do kontynuacji drogi Przybosa zniechęca zapewne młodych także pryncypializm i wyłączność głoszonych przez niego zasad poetyckich.

Po roku 1957 otrąbiono „zwycięstwo awangardy”. Jednak po pewnym czasie poetyka ścisłości i precyzji słowa, jaką była przecież w założeniu poetyka Pełpera i Przybosa — rozciągnęła się, rozlała się w nieforemną lawinę wierszy. Pisać w stylu tej rozciągniętej awangardy było już dla wielu ambitnych młodych twórców — rzeczą zbyt łatwą. Odstępowała też masowość tej bezkształtnej produkcji poetyckiej, brak zróżnicowania indywidualności. Nastąpiła jakby unifikacja wyobraźni. Mody i manery istnieją w poezji zawsze — lecz jest coś przerażającego dla poety, gdy nagle uświadamia sobie, że nie jest sobą, że jest jednym z wielu, że jest po prostu wielością. Sytuacja, w której tak łatwo pomieszać podpisy pod wierszami, jak dawać mieszal w kapeluszu słowa — budulec poezji, jest sytuacją dla poezji wyjątkowo niebezpieczną. Anonimowość, niejakość tej fali poetyckiej stała się jakże pyrrusowym zwycięstwem awangardy.

W tej sytuacji pojawiła się tendencja do utrudnienia poezji, do wzmocnienia rygorów wersyfikacyjnych, do sięgnięcia po wzory poezji erudycyj-

nej, intelektualnej. Od czasów romantyzmu bodaj nie było u nas takiego zapatrzenia na poezję anglosaską. Niektórzy młodzi poeci wynoszą całe wiersze i poematy z dwóch linijek, dwóch słów angielskiego lub amerykańskiego poety. Trzeba przyznać, że odwołują się w ten sposób źródła inspiracji literackich naszej poezji zorientowanej tak długo na poezję francuską, że wreszcie rozczują się na pewno w dobrej poezji. Przypusz-

Tak to wygląda w największym skrócie, tak wyglądają i stąd się biorą próby wyjścia z amorfizmu, tzw. wolnego wiersza, z ułatwionej poezji wyobraźniowo — wrażeniowej, nadużywającej sproszkowanego zdania. To zdanie w poezji Różewicza ma swoje wewnętrzne, głębokie uzasadnienie, jest szorstkie, bolesne, gorzkie, anty-ornamentacyjne. Pod niezliczonymi piórami naśladowców to sproszkowanie prowadzi do zaprzeczenia, do

## Listy o poezji

poezję. Przypomniał to w pięknym artykule Henryk Bereza na przykładzie twórczości Piętaka („Tygodnik Kulturalny” nr 5). Rzadko pośród belkotu zwanego u nas krytyką poezji da się wyczytać

i to zarówno w niedawnej przeszłości jak i teraźniejszości. Przypomina mi się jeszcze raz przykład poezji będącej wyrazem tragicznej świadomości młodego poety obudzonego nagle ze snu dzieciństwa w środku historii, przykład Andrzeja Bursy, tego poety, który także jak Piętak pisał nie słowami ale własną krwią i własnym życiem. Jest jakaś szalona, okrutna dysproporcja między poezją Bursy a poezją młodych „klasyców”, jego rówieśników. Te dwie koncepcje poezji i te dwie przeciwstawne pozycje życiowe wykluczają się. Dla tzw. klasyców holdujących poezji rzekomo myślącej a nawet erudycyjnej — poezja jest grą, jest sprawą ambicji, sprawności umysłowej a więc pewnego rodzaju sportu. Dla autentycznych poetów poezja jest sprawą ich prawdy wewnętrznej, sprawą życia.

Przypominam sobie jeszcze jedno określenie klasycyzmu: jest to nurt, który mistrzostwem pragnie pokryć braki treści wewnętrznej. W tym wypadku — może brak biografii.

Dlatego nie wierzę w nowy klasycyzm. Czas jeszcze na niepokój, na wewnętrzne poszukiwanie i nawet szarpaninę. Niestety, czas jeszcze na skromne odkrywanie tego, jak bardzo niewyraźne, jak nie- me jest to, co chcielibyśmy wypowiedzieć. Tragizm sztuki współczesnej — to uświadomienie sobie własnej niemoty, to wyrażenie bólu niemożności wypowiedzenia się. To nie jest czas na klasycyzm.

## Nie wierzę w neoklasycyzm

czam, że zaowocuje to w przyszłości.

W tej chwili najczęściej mamy do czynienia z pastiche'ami. Literackość, sztuczność inspiracji mrozi poezję. Ież powstaje wtedy dobrych wierszy, iluż mamy kulturalnych poetów! Ale czy może być bardziej niepokojące określenie jak „poeta kulturalny”?

W poszukiwaniu rygoru poeci sięgnęli do form dawno zaruconych, do sonetu, madrygału, ody. Przypomnieli poetów baroku zepchniętych w polskiej tradycji literackiej przez wszystkożerny romantyzm. To przypomnienie ośmieliło do wydobycia na jaw groteski, makabry, brzydoty, co właśnie zostało przez Przybosa tak świetnie i celnie nazwane turpizmem. Świętne poetycko i niespodziewane efekty wydobycia połączenia nowocześniejszej, śmiałej wyobraźni, gęstości i jedności słowa z zakrzepłymi rzekomo formami wersyfikacyjnymi.

granic poezji, gdzie nie wolno przebywać bezkarnie.

Poezja kontynuująca raczej barok poetycki niż klasycyzm stała się w swoim dążeniu do ekspresji właśnie nazbyt ornamentacyjna. Ta ornamentacyjność makabry i brzydoty jest cechą „turpizmu”, nie zaś samo pojawianie się motywów „brzydkich”.

W jednym z moich listów określiłam tę tendencję poetycką jako parodystyczną. To łączy ją z poetami o szczytach angielskich, którzy niemal rozmyślnie i świadomie uprawiają twórczość parodystyczną. A przecież sądzę, że jedynym dla poety ratunkiem z anonimowości strumienia poezji — jest siła własnej osobowości, jest własny los, własna prawda życiowa, własny dramat. Tylko usiłowanie za wszelką cenę wypowiedzenia tej własnej, odrębnej prawdy życiowej — liczy się w rachunku ostatecznym. Wszystko inne jest układaniem w szeregi słów, jest zabawą w

sformułowanie tak celne, mądre, nieomyłne w diagnozie sytuacji naszej poezji.

Henryk Bereza pisze: „Karmimy się już niemal wyłącznie poetyckimi falsyfikatami, rozróżniamy często bardzo precyzyjnie ich jakoś i zapominamy, że wśród falsyfikatów może się zdarzyć oryginał poezji ponieważ najczęściej falsyfikaty służą już nam jako oryginały, ponieważ zatraciliśmy smak oryginałów”.

Mocne to słowo: falsyfikaty. Ale spróbujmy zrozumieć, o co chodzi krytykowi. Użył tego słowa na określenie świetnej nawet poezji, ale nie będącej wyrazem osobistego dramatu i autentycznego ludzkiego losu.

Zabawa w poezję to rzecz piękna. Szczęśliwi, którzy ją mogą uprawiać, i szczęśliwe okresy historii, które na nią łaskawie zezwalają. Mało jednak w naszej historii przesłanek na ten rodzaj twórczości

## WILLIAM SHAKESPEARE

### Sonet XX

A woman's face...

Ręka twórczej Natury dała ci urodę kobiety, władca silo mych uczuć głębokich — serce czyste, co nie zna przewrotności mody, a treści swej nie kryje za fałszu obłokiem.

Zrenica twa jaśniejsza niż białogłów oczy rozslonecznia swym blaskiem i ognie roznieca w tym wszystkim, co w skupionych barwach się jednoczy — przykuwa myśli mężczyzn i dusze kobiece.

Gdybyś był przez naturę kobietą stworzony i gdyby cię w jej kształty wyczelowała, to bym to jako klęskę widział ze swej strony: wielkość pragnień zamknięta w szczególe zbyt małym.

Lecz od kiedy cię wprzegła w rydwan uciech kobiet, mnie oddaj swoją miłość a im skarb swych podnień.

Z oryginału przełożył  
Wacław Gralewski

## STEFAN WOLSKI

### Przeciw przedawnieniu

Wzięć do ręki i ścisnąć ich słowa  
a miękki miąższ sensu ustąpi  
zdanie za zdaniem,  
korowodem kłamstewek i skrętów,  
w których na przemian uśmiechy  
i kita lisia powiewa.

Ale mowa, sama mowa, odsłania  
nagi palec wysoki u góry;  
w dole błysk profesorskiej żrenicy:  
wymierzona luneta snajpera.

To ta mowa. I po eo, dla kogo,  
na jakie zakłęcia się zaklęta,  
kiedy każdy, co słyszy, w pięść zgarnie  
i ten miąższ chrupający pod słowem.  
Nie, to syrop fałszywy i lepki  
o miłości przebaczeń na ziemi.

Więc ci spod zielonej murawy,  
spod mogiły ze śniegu i z głębi,  
nie kość nawet lecz imię i próchno...  
Już nikt ich o zdanie nie pyta?

Toteż my, podnosząc gardziele,  
krzyczymy, krzyczymy i krzyczymy,  
wołajmy to „nie” nasze wierne, dokładne,  
bardziej ludzkie niż szkiełko uczonych,  
aż się cofnie w skorupę, w jaskinię  
barbarzyńcy kudłata maczuga,  
aż język zmadrzeje sycający,  
gdy go prawa wylupią anioły.

Oto groźny cień ludzkiej zapłaty.  
Przebaczenie?  
W niebiosach gotowe.

A wy śpijcie pod śniegiem i darnią  
w głębokościach wielkiego spokoju.

## DIONIZY MALISZEWSKI

### Córcze mojej, Ewie

Z zaciekawieniem oglądasz krajobraz moich rąk  
— ciemne wąwozy na równinach dłoni  
podskórne uezbrane krwią strumienie  
przepływające przez nagie przełęcze kości  
ku ruchliwym półcypsom palców.

Małym paluszkami błądzisz wśród szarych ugorów  
omijając tektoniczne uskoki skóry.  
Pełna lęku omijasz ślady dawnych zniszczeń  
pytasz o ból, który był nim rany zasklepiły się szramami.

Jak ci to powiedzieć, córeczko —  
że ten krajobraz jak lodowiec Ziemię  
ukształtowała wojna. Wojna a potem praca.

W odrębności pojmowań tkwią zarodki zarówno małych jak i dużych konfliktów. Źródła ich są przeważnie głęboko ukryte i wielorodne. Np. sprawa młodych i starych — tych, którzy wkraczają na arenę i tych, którzy z niej schodzą. Rzadko się zdarza, aby te odejścia miały charakter sztafet, w których pałeczki ideologicznych postaw i rozumień przekazywane by były z łatwością następcom. Ci, którzy je odbierają, często czynią to z pomrukiem, a nawet buntują się otwarcie. Stąd płyną owe „bunty młodzieży”, owe „walki pokoleń”. Z tarć tych jednak i zmagaj wyraźta plon nowych form kultury — politycznej i społecznej.

Zawsze tak dotąd bywało, że pokolenie starsze reprezentowało ostrożniejszy punkt widzenia, bardziej praktyczne i racjonalistyczne traktowanie zagadnień — pozostawiając młodzieży wybuchy uczuciowe i romantyczne pojmowanie świata.

A jak jest dzisiaj? Właśnie otrzymałem od jednej z matek list, jaki napisał do niej syn, który niedawno rozpoczął studia w Warszawie. Matka należy do średniego pokolenia — nie przekroczyła czterdziestki. Syn ukończył lat 17. Rodzina inteligentna, dość typowa. I ojciec i matka pracują. Dzieci wykazują znaczne zdolności — uczą się dobrze. Konflikty wewnętrzne rodziny nie przekraczają normy typowej, choć mają swe indywidualne zabarwienie.

Najstarsze dziecko, syn, o którym mowa, jest zdolne, interesuje się osiągnięciami współczesnej nauki, ma z lekką lekkocząstą stosunek do przeszłości. Ideale — raczej techniczne niż humanistyczne. Malomówny, trochę zamknięty w sobie. Dość wczesnie ukończył szkołę średnią i za wybitne rezultaty w nauce został wyróżniony. Łatwo uzyskał wstęp na wyższą uczelnię. Od chwili wyjazdu do Warszawy prawie nie pisuje do rodziny. Matka czyniła mu wyrzuty. Po jednym takim liście napisał odpowiedź, która stanowi jakby jego credo. Przytaczam najbardziej charakterystyczne wyjątki z listu.

„Ja wiem, że ty chciałabyś, abym pisał listy jak słowacki i wyrażał w nich taką ogromną tęsknotę za domem rodzinnym, niestety, dawno już minęły czasy romantyzmu. Obecnie w wieku atomowym żyje się dniem jutrzejszym, a nie wspomnieniami i roztrząsaniem spraw uczuciowych. Takie rozmyślenia niepotrzebnie tylko rozkleja człowieka i nastroja ją go pesymistycznie do życia; robią go niezdolnym do pracy. Z tych samych powodów nie chcę zbyt często wracać myślami do przeszłości. Z Lublinem nie czuję się specjalnie związany i prawdopodobnie tam już nie wrócę, więc po co wywoływać wspomnienia. Piszesz — że niedługo, gdy się usamodzielnię, sprawa moich stosunków z rodziną jeszcze się pogorszy. To jest zrozumiałe i normalne: „ptak dorasta i wyfruuwa z gniazda”. Takie jest życie i trzeba się z tym pogodzić. Jest to konflikt dwóch pokoleń, który nie ma rozwiązania”.

List zaczyna się konwencjonalnie „kochana mammo” i kończy się w postscriptum: — „jeśli obrazilem przepraszam”.

Trudno ustalić, w jakim stopniu deklaracyjność tych wypowiedzi jest wyrozumowana czy też spontaniczna. Czy jest modą młodzieżą, czy wyrazem jakiegoś głębszego nurtu.

Jeśli weźmiemy pod uwagę wiek autora listu, to wydaje się, że daleko mu jeszcze do pełnego skryształowania poglądów. Zdolne, młode jednostki potrafią przybierać najróżnorodniejsze postawy zapożyczone z różnych źródeł. Nawet styl listu może być przykładem takiej postawy.

Zróbmy założenie, że list ten jest skryształowanym poglądem i wyraża kategorię nawiązania myślowe, nie tylko autora, ale i dużej grupy młodzieży, z którą jest powiązany.

Prawda, że epoka nasza z jej zwycięskim pochodem w głąb atomu, z udanymi próbami wtargnięcia w Kosmos, rozwiązywaniem wielu kapitalnych zagadnień technicznych, które do niedawna były uważane za nierozwiązalne, zbyt silnie oddziaływało na wyobraźnię, szczególnie młodego pokolenia. Obraz przyszłości, aby mógł być w pełni zrealizowany wymaga zerwania z przeszłością i z jej balastem kompleksów uczuciowych. Albo jest trzeba całkowicie zmodyfikować. To zabieg chirurgiczny, na miarę nowych epok, bolesny, ale, być może, konieczny.

Trudno ustalić dokładnie, gdzie przebiega linia graniczna pomiędzy sercem i rozumem i czy przypadkiem nie wy-

raża sensu tego samego zjawiska.

Zrozumiałą jest również rzeczą, że takie nasświetlenie wywołuje sprzeciw w umysłach powiązanych z tradycją uczuciową. Pisałem kiedyś o „buncie starości”, która podjęła sztandar porzucony przez młodych.

Wszystko, co napisałem, ma tylko charakter zagajenia do dyskusji. List powyższy jest ku temu dobrą okazją. Dyskusja, w której głos powinni zabrać i przedstawiciele młodzieży i starszego pokolenia, instytucji i organizacji, może wyjaśnić pewne aktualne a zarazem ważne zagadnienia. Będą nimi i stosunek młodego pokolenia do rodziny i rodzinnego miasta, do problemów przeszłości i przyszłości, tradycji i potrzeby stworzenia nowych form współżycia między ludźmi.

Czy młody człowiek, autor listu jest tylko osamotnionym „cudzoziemcem” w rodzinie i w rodzinnym mieście, czymś w rodzaju turysty, który młodość swą wplątał w krąg obcych mu spraw, czy też przedstawicielem dużej gromady nowego pokolenia, idącego do własnych celów — obcych przeszłości?

„Cudzoziemiec w domu?” jest artykułem dyskusyjnym. Redakcja nie uważa, aby cytowany list — stanowisko zajęte przez młodego człowieka, mógł świadczyć o takiej właśnie postawie całej młodzieży. Czekamy więc na wypowiedzi i opinie Czytelników w tej sprawie. Szczególnie zależy nam na listach rodziców, pedagogów i samej młodzieży. (Red.)



Fot. Zbigniew Kramarz

## Z notatnika podróży amerykańskiej

Chętnie przyjąłem zaproszenie redakcji „Kamery” do napisania artykułu na temat zagadnień kulturalnych w Ameryce, zwłaszcza że niedawno wróciłem z podróży dziennikarskiej do Stanów Zjednoczonych. Ale konieczne wydaje mi się dwie uwagi wstępne.

Pierwsza: nie jestem specjalistą w tej dziedzinie. Interesuje mnie przede wszystkim polityka zagraniczna — do Ameryki jechałem z okazji wyborów prezydenckich. Poniższe uwagi proszę więc potraktować jako wrażenia „konsumenta kultury”.

Druga: otwarta pozostaje sprawa mierników porównawczych. Wyjaśnię to na przykładzie. Jeżeli mówię mi, że w Ameryce wydano w ciągu roku 300 milionów książek, wylania się pytanie, czy to dużo, czy mało. Odpowiedź zależy właśnie od przyjętych mierników. To dużo, jeśli się wie, że produkcja wydawnicza w poprzednich latach była mniejsza. To mało, jeśli porównać z Polską (w Stanach Zjednoczonych 1,5 książki na głowę ludności rocznie, u nas — 3 książki).

Po tych zastrzeżeniach — kilka fragmentów z notatnika podróży.

Powieść Mary McCarthy. Po przyjeździe, jak zwykle, pytałem przyjaciół amerykańskich, jaka książka — ich zdaniem — była ostatnio najciekawsza i zasługuje na przeczytanie. Odpowiedzi były tym razem niemal zgodne. Wymieniono powieść znaną i u nas autorki Mary McCarthy „The Group” (Grupa), figurującą od wielu miesięcy na wykazach „best sellerów” i wydaną ostatnio w tanim masowym nakładzie.

(Nawiasem mówiąc warto wspomnieć, że wszystkie niemal książki mające powodzenie — nie tylko beletrystyczne — ukazują się obecnie w Ameryce w dwóch nakładach:

wpierw w droższym wydaniu w sztywnej oprawie, a po jakimś czasie w tanim wydaniu bez oprawy; różnica w cenie jest często 10-krotna — 5 dolarów i 50 centów).

Powieść McCarthy przeczytałem i nie rozczarowałem się. Autorka kreśli na szerokim tle politycznym i społecznym dzieje 8 dziewcząt, które w latach 30-tych kończą ekskluzywny uniwersytet dla kobiet Vassar College (sama Mary McCarthy wówczas kończyła tę uczelnię). Tem jest narastanie bezrobocia w Ameryce i dojście do władzy Hitlera w Niemczech. Bohaterki książki (właśnie „grupa”) wywodzą się z środowiska bogatego mieszczaństwa. Autorka pokazuje ich borykanie się z życiem — trudności z mężczyznami (mężami ich kochankami), trudności ze znalezieniem pracy.

Mary McCarthy nie unika dramatycznych scen erotycznych (jak np. na początku szczegółowy opis utraty dziewictwa przez jedną z bohaterek), co podobno zapewniło książce powodzenie. Ale walor książki polega oczywiście nie na tym. Książka jest — moim skromnym zdaniem — wartościowa, gdyż pokazuje w sposób artystyczny istotny fragment życia amerykańskiego — życia pewnego środowiska.

I znów sprawa porównawczych. Podczas jednej z poprzednich podróży amerykańskich wymieniono mi jako książkę najciekawszą wówczas „Forever Amber” (nie pamiętam już nazwiska autorki — też kobiety). Było to romansidło opisujące przygody „miłosne” kur-

tyzany z XVI czy XVIII (i tego nie pamiętam) wieku. Rzecz nie miała żadnej wartości, ale znalazła kilka milionów czytelników. „The Group” Mary McCarthy zamiast „Forever Amber” — to duży postęp.

Dwa filmy. Spośród kilku filmów amerykańskich, które zdążyłem obejrzeć, dwa utkwiły mi w pamięci. Pierwszy nazywa się w oryginale „One Potato, Two Potato” (dosłownie: „Raz kartofel, dwa kartofel”) — jest to wylizanka dziecięca, a w Warszawie podczas Festiwalu Festiwalu Filmowych pokazany był jako „Czarne i białe”. Drugi nazywa się „Fail Safe”, której to nazwy w ogóle nie potrafię przetłumaczyć — dotyczy ona mechanizmu zapewniającego bezpieczeństwo.

Pierwszy z tych filmów poświęcony jest problemowi murzyńskiego w Ameryce i jest w gruncie rzeczy szlachetnym, choć melodramatycznym protestem przeciw dyskryminacji Murzynów. Film podobno już jest u nas zakupiony, więc nie będę go streszczał. Sam fakt wyprodukowania takiego filmu i wyświetlenia go w północnych stanach (na Południu pokaz filmu wywołaby awantury rasistów) jest zjawiskiem pozytywnym.

Drugim filmem — według głośnej przed kilku laty powieści o tej samej nazwie — jest przestroga przed wyścigiem zbrojeń jądrowych. Fabuła sprowadza się do tego, że lotnictwo amerykańskie na skutek nieporozumienia wysłało nad Związek Radziecki kilka samolotów z ładunkami bomb jądrowych. Gdy nieporozumienie się wyjaśnia i gdy następuje rozkaz powrotu, w jednym z bombowców zawodzi mechanizm (stąd nazwa filmu) i zaboga zmierza nad Moskwę. Za kilkanaście minut Moskwa przestanie istnieć. Następuje dramatyczna rozmowa telefoniczna prezydenta amerykańskiego

(Dokończenie na str. 11)

GRZEGORZ  
JASZUŃSKI

# Wielki eksport

MARIA BALLOD

\* \* \*

Jeśli ludziom podróżującym po świecie potrzebne są liczne dokumenty i zaświadczenia, również tworzy ich umysł nie przekraczają granic bez wielu, dość często skomplikowanych, formalności. Wymiana tzw. dóbr kulturalnych, to przecież i świadczenia finansowe, i prawa autorskie, i zabiegi reklamowe itp. itd. Te właśnie kłopotliwe czynności przeżyła niedawno, bo dopiero w połowie ub. roku, Agencja Autorska, której naczelnym dyrektorem jest znany pisarz, Michał Rusinek. Agencja powołana została staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz ZAKS pozostającego, jak wiadomo, pod poetyckim prezesostwem St. R. Dobrowolskiego.

Czy młoda placówka ma już jakieś osiągnięcia? Na to pytanie odpowiada dyr. Rusinek, przytaczając wiele konkretnych faktów.

W pierwszych miesiącach istnienia Agencja nawiązała kontakty z najpoważniejszymi światowymi firmami wydawniczymi, agencjami literackimi, muzycznymi i teatralnymi i już w tym pierwszym stadium organizacyjnym osiągnęła ciekawe wyniki. Pion działalności Agencji z ostatnich trzech miesięcy wyraża się m. in. w postaci około 70 umów zawartych przez nią na przekłady książek, sztuk teatralnych, realizację oper itp. naszych współczesnych autorów. Każdy dzień przynosi do Agencji coraz liczniejsze zapotrzebowania zagraniczne, wnioski o opcie, prośby o umowy, o materiały propagandowe, książki, sztuki, teksty muzyczne z zakresu muzyki poważnej i rozrywkowej, zapytania o materiały do antologii, encyklopedii itp. Są to wszystkie dowody, jak wielkie zainteresowanie budzi polska sztuka za granicą i jak słuszną była decyzja zorganizowania agencji.

Jeśli chodzi o literaturę piękną, zainteresowania wydawców zagranicznych są różnorodne. Koncentrują się raczej wokół tematyki współczesnej i skupiają nie tylko na twórczości najwybitniejszych naszych pisarzy. Szereg firm zagranicznych zabiega o książki autorów o mniej głośnych nazwiskach, zapytuje o twórców młodych, debiutantów.

Dzięki zawartym przez Agencję umowom pojawiają się niebawem na rynku zagranicznych przekłady między innymi następujących polskich książek:

W CZECHOSŁOWACJI: Gałęzińskiego „Zielona geś”, Mroźka „Strip-tease”, „Kartoteka”, „Zabawa”, Różewicza „Kartoteka”, „Grupa Laokoona”, „Świadkowie”, Leca „Wybór aforyzmów”, Filipowicza „Jeniec i dziewczyna”, antologia nowel: Putramen-

## JERZY GEMBICKI

ta, Zukrowskiego, Dabrowskiej, Rudnickiego, Zawieyskiego Brandysa, Iwaszkiewicza, Lema, Schulza i Mroźka: zbiór „Polskie bratki se zviratky” z utworami Brzechwy, Janusiewskiej, Raduzewskiej i Swirzczyńskiej; Bahdaja „Uwaga! Czarny parasol”, Golembowicza „Przygody chemiczne Sherlocka Holmesa”, Jurgielewiczowej „Ten obcy”, Nienackiego „Laseczka i tajemnica”, Niziurskiego „Wyraź”.

W JAPONII: Andrzejewskiego „Idzie skącać po górach”, Przybylskiej „Czaszka mego serca”, Nalkowskiej „Medalliony”.

WE WŁOSZECH: Brandysa „Sposób życia”, W JUGOSŁAWII: Iwaszkiewicza „Matka Joanna od Aniołów”, Leszczyńskiego „Agent z E-Pall”, Szelburg-Zarembiny „U leśnego dziadka”, Worosyńskiego „Gdy zostaniesz Indianinem”.

NA WĘGRZECH: Stawńskiego „Pogóż za Adamiem”, Paradowskiego „Niebo w płomieniach”, Centkiewiczów „Friedhof, co z ciebie wyrosło”, Kerna „Ferdynand Wspólny”, Broszkiewicza „Kształt miłości”, Andrzejewskiego „Papiół i diament”, Nalkowskiej „Medalliony”.

W NRD: Gerharda „Czas generała”, Arcta „Cena życia”, Leszczyńskiego „Agent z”

(Dokończenie na str. 11)



Fot. Andrzej Polakowski

Szumiąca liśćmi — Matko  
wiatrom pieśni zadalaś  
zbiegły  
Twoją kołysanką  
kiedys śpiewałaś  
czy dla ucieszenia  
zmęczonych powiek moich  
czy Ty barki snów  
przywabiałaś  
rozpostartych w mroku  
żół mi do kolan przypadły  
lasząc się  
wtedy wiodłaś żeglowne  
trzymałaś czarne kudły na uwier-  
zającej nocy  
ponad ciemne okna  
nim zapytałam  
dlaczego nie świecą  
po drzew koronach  
gdzie historia gniazda wita  
i liście mosiężne jak kosy  
dźwięczały  
pnie — zwaly armatnie  
strojły  
i niosłaś przez łąki  
tam mądre boćki  
uczyły pisklety  
rozpostrzeć skrzydła  
pod Twej ręki namiot  
sfrwały do mnie  
ufnie

Ty w ogrodzie spieszyłaś  
z pestek wydzierałaś ziarna  
i zaraz kwitły  
w spadziste jabłonie  
aż sen wydłuził się  
w widziadła blade  
zaczarowane różdżką kołysanki

Dziś siejesz wiatry  
rozpościeras liście  
pod echa —  
male srebrzone zwierciadła  
nie grają  
świecą —  
odbijają Ciebie

## HENRYK JACHIMOWSKI

### czy będziesz

- pagardziłeś gliną i piaskiem
- lepisz siebie z piór ptaków
- lepisz siebie z łusek ryb
- lepisz siebie z wosku pszczół
- lepisz siebie z kory drzew
- czy będziesz tak samo  
przewrotny i fałszywy

## IGOR POSTUPALSKI

### O świcie

To było o świcie,  
22.VI.1961, w Jalcie.  
Męczyła mnie bezsenność.  
Leżałem obok otwartego okna,  
zwróconego na północny zachód.  
Patrzyłem roztargniony  
na niebo, które trochę już zbladło,  
na gwiazdy  
osobliwie na jedną, jaskrawo  
błyszczącą.

Początkowo nie wierzyłem  
własnym oczom...

Zobaczyłem przez okno:  
zjawiała się obok owej gwiazdy  
jakaś druga, nieznaną,  
błyszcząca też jak pierwsza...  
Ale była w zauważalnym ruchu,  
wyraźnie wznosiła się w górę!

Popatrzyłem baczniej:  
owszem, to nie było złudą.  
Rzeczywiście, owa gwiazda mknęła,  
lśniła, za chwilę przesuwała się dalej...

Wtedy zrozumiałem, że to jest sputnik  
(radziecki czy amerykański?).  
Patrzyłem z zachwytem.  
Zbudziłem żonę  
(rozgniewała się).

Patrzyliśmy we dwoje,  
aż póki sputnik nie skrył się  
na drugim krańcu nieba,  
znikł zupełnie za dachem...

— Zegnaj, zegnaj, sputniku!  
— szepnęłam  
z radością, a może z tajemną trwożą.

JAKOŚC artystyczną lubelskiej sztuki użytkowej można określić jako przeciętną. Ta ocena, oparta na obiektywnych, sprawdzalnych faktach, ma jednak pewien mankament; mówimy o średniej statystycznej, ukrywającej cały szereg wartościowych realizacji. Odnaleźć je można najczęściej w śródmieściu, a autorami są zazwyczaj plastycy lubelscy lub z innych ośrodków, korzystający na ogół z pośrednictwa Pracowni Sztuk Plastycznych. Przykładowo wymieniam kilka udanych wewnątrz i reklam neonowych zlokalizowanych przy Krakowskim Przedmieściu: malarstwo ścienne w artece nr 3, plafon sali „kawiarnianej” w „Delikatessach”, niewielki sklep z galanterią męską pod nr 15, witryny PDT, neon sklepu warzywniczego nr 1, wewnątrz i neon drogerii ISS, rozwiązanیه wnętrza sklepu WZSP.

Jest faktem wymownym, że realizacje o stosunkowo niskim lub wręcz niedostatecznym poziomie są w przeważającej mierze „dziełem” amatorów czy ludzi „przyczynowych” (skandalicznie malarstwo ścienne w kwaciarni przy Krakowskim Przedmieściu), działających często za wywodnym narównaniem przedsiębiorstw uspołeczniowych.

W warunkach, w których nie istnieje ustawa o ochronie zawodu plastyka, praktycznie każdy posiadający określone uprawnienia rzemieślnicze ma prawo wykonywania prac wchodzących często w zakres sztuki użytkowej, placąc przy tym kilkunastoprocentowy podatek (ostatnio zwolniony 8%). Widocznie nie przeszkadza to w uzyskiwaniu wcale godziwych zarobków, skoro

„plastyków” u nas więcej niż lekarzy. Z prawnego punktu widzenia wszystko jest więc w porządku, tym bardziej, że odpowiednie przepisy ustalała dość mglistą granicę kompetencji, stwarzając zarazem szerokie możliwości interpretacji poszczególnych paragrafów; górna granica wynagrodzeń za prace rzemieślnicze dotyczy praktycznie i niemal wyłącznie rzemieślników indywidualnych. Dodajmy do tego całą rzeszę „dzikich” plastyków działających na

Kultury i Sztuki istnieje przy PSP, lecz z braku odpowiednich uchwał jego działalność ogranicza się praktycznie do kontroli prac wykonywanych przez to przedsiębiorstwo, w nielicznych tylko i drastycznych wypadkach inwestorzy państwowi spółdzielcy zwracają się do kolegium o przeprowadzenie weryfikacji. Obok kontroli artystycznej kolegium weryfikuje także wycenę projektów na podstawie cennika państwowego.

# Cwaniacy

zasadzie osobistych stosunków i znajomości ze zleceniodawcami, a wówczas wylonia się pierwsze wątpliwości dotyczące ogólnego poziomu lubelskiej plastyki użytkowej, w której toną wartościowe realizacje (zjawisko to szczególnie jaskrawo występuje w województwie). Wątpliwości te ulegają pogłębieniu, gdy wzmocmy pod uwagę niezbyt wysoką kulturę plastyczną pracowników handlu i innych usług, zlecających i akceptujących projekty wewnątrz, reklam itp.

Brak fachowego czynnika kontrolującego artystyczną i funkcjonalną wartość projektu jest więc główną przyczyną codziennie spotykanej mierności plastycznej. Jedyne Kolegium Rzeczoznawców zatwierdzone przez Ministerstwo

Możliwości stosunkowo łatwego a przede wszystkim wysokiego zarobku, aktywizują całe tabuny cwaniaków żerujących na społecznym majątku. Stąd zalew wszelakiej szmiry plastycznej, za którą roczne różne przedsiębiorstwa i instytucje całego kraju płać minimum 120 milionów złotych! A oto wybrane przykłady, jakże dynamicznej „działalności” ludzi bez odpowiednich kwalifikacji lub zwykłych naciągaczy (dane oparte na weryfikacjach PSP dotyczących kraju i Lublina): od Wielkopolskich Zakładów Wyrobów Papierniczych za wykonanie prac graficznych zadano 104 tys. zł — rzeczywistym wynagrodzeniem okazało się 60 tys. Stoleczny Związek Spółdzielni Pracy zlecił amatorowi z Ełbląga za-

# Nie poznaję tych stron...

Rozmowa z Janem Gerhardem

— Niedawno, na zaproszenie Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie, odwiedził pan Bieszczady, kraje, z którą zetknął się Pan przed laty w jakże odmiennych okolicznościach. Wówczas dowodził pan jednym z pułków WP, toczących

Wreszcie ludzie, oczywiście ci, których znalazłem z tamtych czasów są przyproszeni siwizną, ale zmienił się ich wygląd zewnętrzny, ich sposób ubierania się, myślenia, wzrosły ich potrzeby kulturalne...

— Czy rzeczywiście są jeszcze ślady „Lun”?

— Oczywiście, jest to przede wszystkim pustka, wyludnienie tego terenu. Ale równocześnie na każdym kroku dostrzegamy jest rozwój. Na przykład taka Cisna, w tamtych latach mała wioska, dzisiaj murowane budynki, nowoczesny ośrodek turystyczny, widać, że to się rozgałęzia we wszystkich kierunkach. Byłem na zakończeniu V Ogólnopolskiego Rajdu Studenckiego: w Dolżycy zgromadziło się 400 dziewcząt i chłopców z różnych środowisk: z politechniki, akademii medycznych, szkół artystycznych. Ich przywiązanie do tego pięknego regionu, ich zainteresowanie i ukochanie tego zakątka kraju zrobiło na mnie duże wrażenie. Jestem przekonany, że Bieszczady dostaną nową kadrę młodych, wysoko kwalifikowanych fachowców, że ci ludzie przyczynią się do jeszcze szybszego rozwoju tego zakątka Polski.

— Zapewne w czasie pobytu w Bieszczadach spotkał pan przyjaciół z znajomych sprzed 18 lat?

— Przede wszystkim muszę tu wspomnieć o spotkaniach z przyjaciółmi, którzy są gorącymi miłośnikami Bieszczad. Należy do nich płk Wł. Pawlusiewicz, zamieszany myśliwy, który za żadną cenę nie opuściłby tych stron, należy do nich pan Jopczyk, jeden z ojców powiatu. Są jeszcze inni, których twarze pamiętam, witamy się bardzo serdecznie, ale czas, niestety, splukal nazwiska.

— Nad czym pan obecnie pracuje?

— Niedługo wyjdą dwie moje książki, które są jeszcze zacierpnięte z bagażu dziennikarskich wspomnień, po czym przechodzę już do powieści współczesnych, co mnie najbardziej pociąga.

— Jakie to będą książki?

— „Zoolityka” — esej o neofaszyzmie w skali światowej. Chodzi o rozmaite organizacje neofaszyzmu powstałe w NRF, inne spokrewnione z nimi typu oasowskiego, argentyńskiej „Tacuara”, belgijski MAC, włoskich

(Dokończenie na str. 11)



zaciekle zmagania z faszystowskimi bandami UPA, dzisiaj przybył pan w te strony na spotkania autorskie z czytelnikami. Jakże wyniósł pan wrażenia?

— Jestem pod wrażeniem zmian, jakie zastałem w Bieszczadach po 18 latach. Zupełnie nie przesadzę, jeżeli powiem, że nie poznaję regionu, który kiedyś był mi tak bliski. Mówię tu o rejonie zamkniętym miejscowościami: Lesko, Baligród, Cisna.

Przede wszystkim Lesko — uderzająca zmiana: zupełnie nowe budynki, rynek, który w dwu trzecich jest zupełnie nowy, z nowoczesnym budownictwem. To samo w Baligródcie: rynek baligródzki, który został tak upamiętniony, nawet wizualnie w filmie Petelskich „Ogólnistrz Kaleń”, ten rynek wydał mi się zupełnie nowy. Następnie, wszędzie ten asfalt: w pamięci utkwiły mi te dawne straszliwe drogi, dzisiaj to są drogi asfaltowe, wprost fenomenalne!

projektowanie mozaiki, malowidła ściennego itp. prac — wykonawca zażądał 61 tysięcy zł, a weryfikacja rzeczoznawców zredukowała rachunek o 50 tysięcy zł.

Wojewódzkie Zjednoczenie Przedsiębiorstw Handlowych w Lublinie zleciło PSP weryfikację prac przy dekoracji witryn sklepowych dla MHD w Chełmie Lub., wykonanych przez niektórych pracowników Teatru im. J. Osterwy, którzy wystawili rachunek na sumę 51470 zł.

Przedstawione powyżej fakty nie tylko uwypuklają ogrom strat finansowych związanych z nadużyciami i poziomem artystycznym nieuregulowanej prawnie sytuacji w plastyce użytkowej, pozabawionej specjalistycznej kontroli, ale jednocześnie tłumaczą wytworzenie się podatnego gruntu dla łapownictwa i korupcji wśród określonych grup, zainteresowanych kwestią udzielenia, otrzymania i wykonania zlecenia. Stąd także wypływa źródło

odpowiednie komórki kontrolujące: jednocześnie i poziom artystyczny, i wartość finansową prac jeszcze w stadium projektu.

Konkretnie chodzi o stworzenie przy prezydiach rad narodowych, przy zakładach pracy, przedsiębiorstwach i instytucjach etatu tzw. patrona — pełnoprawnego i wysoko kwalifikowanego plastyka, zaproponowanego przez PSP i właściwe związki twórcze.

Za niewielkim wynagrodzeniem 630 zł (plus 15% od tej sumy dla PSP) w czasie 30 godzin miesięcznej pracy, spełniały on rolę konsultanta do spraw plastycznych i przeprowadzał doradczą weryfikację zleconych projektów pod kątem ich wartości artystycznych i prawidłowości wyceny; w przypadkach kontrowersyjnych decydujący głos należałoby do Kolegium Rzeczoznawców przy PSP. Ta obiecująca reforma znalazła już reflektantów wśród kilku instytucji, które wystąpiły do PSP o zawarcie umów patronalnych (WZKiN, puławskie „Azoty”, FSC, rady narodowe w Kraśniku, Zamościu, Chełmie i in.). Niemożliwością jest jednak zawarcie umów patronalnych ze wszystkimi placówkami państwowymi, czy społecznymi, dlatego też dąży się do rozszerzenia kompetencji Kolegium Rzeczoznawców, które, na podstawie odpowiedniej decyzji administracyjnej, powinno być obowiązkowo powiadomiane o wszelkich zamierzeniach plastycznych przekraczających ustaloną granicę finansową, i których znaczenie społeczne, prestiżowe i propagandowe byłoby wystarczająco ważne, aby kontrolę te uzasadnić.

Ireneusz J. Kamiński



Osobliwe zdjęcie reprezentantów poszczególnych klas milejowskiej szkoły. Na pierściach uczniów papierowe krążki z napisami mówiącymi o wysokości zebranych pieniędzy na zakup broni dla wojska. Na ścianie hasło: UZBRAJAMY POLSKĘ.

## Rękopis znaleziony w Milejowie

Ten rękopis jest jednym z ciekawszych dokumentów XX-lecia międzywojennego na Lubelszczyźnie. Mamy tu na myśli „Kronikę szkolną” z lat 1922—1939, prowadzoną głównie przez kierownika szkoły podstawowej w Milejowie — mgr Albina Mazurkiewicza.

KRONIKA nie jest jakimś suchym zapisem wydarzeń szkolnych. Jej autor był bystrzym obserwatorem społecznym. Swym spostrzeżeniami dawał wyraz w opisach życia szkoły na tle sytuacji we wsi Milejów i w okolicznych miejscowościach. Duże partie „Kroniki” zawierają częstokroć bardzo dramatyczne relacje. Nie są one bynajmniej tylko przyczynkiem i pewną ilustracją do sytuacji szkolnictwa w Polsce przedwrzesniowej, lecz odbiciem wielu problemów społeczno-gospodarczych i politycznych.

Obraz dawnego Milejowa jest jakże różny od dzisiejszego. „Milejów stał się dużą osadą dobijającą się już praw miejskich. Jeśli spojrzeć na procesy społeczne, które nastąpiły w Milejowie po wyzwoleniu — to można mówić o rzeczywistym cudzie gospodarczym, jaki objął cały jego rejon, tj. około sto okolicznych wsi. Niekoronowaną

stolicą wielkich przemian jest Milejów. Cud zdarzył się w nim za sprawą wysoko cenionych miodów: „Wawelu”, „Klasztornego” i dzięki dżemom, sokom, koncentratom produkowanym w tutejszej fabryce — Zakładach Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego. Zbudowana po wojnie fabryka zdźwięła gospodarczo i kulturalnie duży obszar powiatu lubelskiego. Stworzyła nie tylko możliwości pracy w Zakładach, lecz dzięki kontraktom przeobraziła strukturę upraw, wpłynęła na wzmożony proces mechanizacji, wytworzyła wielkie zapotrzebowanie kulturalno-oświatowe.

W Milejowie i okolicznych wsiach zapanował dobrobyt. Chłopi zbudowali już dziesiątki willowych domów, wielu z nich ma samochody osobowe, traktory, kupują pralki, lodówki, telewizory. Od wyzwolenia istnieje w Milejowie Liceum Ogólnokształcące. W osadzie kursują cztery prywatne taksówki. Te wyrywki podane przykłady — to oznaki procesu urbanizacji i nowoczesności wkraczającej na lubelską, rzeszowską, kielecką i białostocką wieś.

Śledząc zjawiska społeczne i kulturowe zachodzące na prowincji w Polsce Ludowej, warto dla ostrości obrazu ukazać przedwojenną rzeczywistość widzianą oczyma milejowskiego autora „Kroniki”.

„W czasie wakacji w sierpniu 1920 r. zmarła p. Stefania Szymanowiczówna. Zmarła była w ogóle delikatną co do zdrowia, a przy strasznych wprost warunkach klas w czworokach (piec w klasie nie ogrzewał lecz dymił) przeziębila się, a potem wyciągnęła się gruźlicą. Koleżanka żywo przejęta była swym zadaniem, pilnie spełniała swe obowiązki (nawet przy pewnej już niedyspozycji zdrowia) a padła ofiarą swego zawodu. Część Jej pamięci!”

„Na końcu roku szkolnego grono nauczycielskie starało się urządzić przedstawienie, w którym miały brać udział dzieci szkolne. Jednak nie uzyskano szopy (właśnie dworu), gdzie przedstawienie odbywać się, gdyż była zajęta pod jakieś pilne prace dworskie”.

„Oddziały VI i VII liczące razem 48 dzieci, muszą pobierać naukę razem i mieszczą się w najmniejszej klasie, której powierzchnia wynosi 17,2 metra kwadratowego. Inne obszerniejsze klasy mają jeszcze więcej dzieci!”

„Na podstawie uchwały zebrania rodzicielskiego byłymy upoważnieni do pobierania po 50 gr wpisowego, za którą to sumę kupiliśmy atrament!”

(Dokończenie na str. 9)

## z paletą

podczas gdy weryfikacja obniżyła sumę do 15300 zł. Stacja Hodowli Roślin w Palikajach, pow. Bełżyce, zleciła weryfikację dwóch rachunków wystawionych przez Studeńską Spółdzielnię Pracy w Lublinie na łączną sumę 20 tys. 660 zł. Po weryfikacji okazało się, że studenci-„plastycy” powinni otrzymać 1400 zł 10 gr. Ostatnio wyszło na jaw kilka faktów obrazujących prężną działalność pewnego zakładu usług remontowo-budowlanych, który zamiast stawiać chłopom obory i wykonywać prace określone samą nazwą przedsiębiorstwa — zajął się plastyką. W swej ekspansji nie ominął nawet Lublina, każąc sobie słono płacić. Więcej zresztą o tej sprawie będzie można powiedzieć po jej dokładniejszym zbadaniu.

społecznej nieufności towarzyszącej plastyką, wśród których przytłaczającą większość stanowią przeciw autentyczni twórcy i uczeni ludzie. I dlatego celem tego artykułu jest wykazanie, że zło tkwi przede wszystkim w samej organizacji pracy związanych z plastyką użytkową, która w całokształcie swej mechaniki decyduje o konkretyzacji projektu. Uważam przy tym za korzystne, ba — niezbędne — istnienie spółdzielni ziemiejskich i innych, wykonujących pewne prace plastyczne; wyraźnie określone i dostosowane do kwalifikacji, a więc i możliwości wykonawczych zatrudnionych pracowników.

Pamiętając jednak o szkodach wyrządzanych przez nieuprawnionych „plastyków”, należy stworzyć

## autoportret

kiedyś  
byłem mrowką —  
ludzie lubią podziwiać pracowitość  
i marzyć

wczoraj  
zostałem rzeźnikiem  
przeklinalnym  
za rogi odcięte bykom  
i mleczność krowom ucieta

dzisiaj  
miałem stać się poetą  
lecz rymy runęły wraz z mostem  
po którym przechodziło wojsko  
robotów

TADEUSZ SOKOŁ

## Rękaw

Na piasku  
między wydmą  
a falą  
granatowy rękaw

Kapitańskie paski  
krzywią się lamia  
gdy język wody  
wysuwa się na ląd

Siedzę stękając piasku  
zlewanie morza

Rękaw  
żywny falą  
krzyży brakiem ręki

Znalazłem tę rękę  
Była ciepła przyjazna  
Dotykałem jej życia  
Całowałem jej dobrę  
dziecko pełne niesień

Wyciągnięta na tle widnokręgu  
zegnana odpływając

Na piasku  
między wydmą  
a zębami wody  
pusty rękaw  
opustoszały dom

## Bogaty Radom?

KRZYSZTOF  
GŁOGOWSKI

Bogaty, przemysłowy Radom przypomina miasta śląskie, gdzie teatry muszą mieć widownię organizowaną, gdyż widzą z nieprzymuszonej, dobrej woli idzie raczej do operetki. Wśród jego mieszkańców dużo jest robotników, inteligencji technicznej, przedstawicieli handlu. Wielu spośród nich rekrutuje się z dawnego, wyjąłającego kulturalnie drobnomieszczanstwa. Środowiska artystycznego nie ma. Trudno za takie uważać jednego członka ZLP i kilkunastu skłóconych malarzy. Inteligencja o wykształceniu humanistycznym ginie w masie i jej istnienia na ogół się nie zauważa.

Dobre zarobki oraz duża ilość technicznych, i nie tylko, dóbr konsumpcyjnych, wpłynęły na utrwalanie się w pewnych środowiskach osobliwej hierarchii wartości. Pozór, wystawność mówiąca o posiadanych środkach materialnych zaczęły przesłaniać walory wnętrza człowieka.

Polityka kulturalna w takim, zresztą bardzo sprawnie rządzonej, mieście powinna być szczególnie umiejętnie prowadzona. Niestety, pewne zjawiska wskazują na to, że kultura w Radomiu jest jeszcze kopciuszkami w stosunku do innych dziedzin życia społecznego.

## Niepotrzebny uniwersalizm

Zacznijmy od Wydziału Kultury MRN. Sprawami kultury kierują dwie osoby. Nawal pracy sprawia, że nie mogą tego robić bardzo dobrze, że uprawiają niepotrzebny uniwersalizm.

Miasto posiada piękne, duże sklepy, ale przykro pomyśleć, że jeden z nich powstał kosztem Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki. Radom jest ostatnim miastem tej wielkości w Polsce, które nie ma takiego klubu, w gruncie rzeczy wyprzedzili go nawet liczne wsie ze swoimi „klubami-kawiarniami”. Jednocześnie, władze tolerują nie wykorzystanie sal Klubu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, w których starsi panowie grają w karty, młodzi plotkują, oglądając w najlepszym wy-

padku telewizję. Zarówno Towarzystwo jak i Klub Literacki, którego posiedzenia odbywają się w tym samym gmachu, prowadzą nader nikłą działalność upowszechniającą. Swojego rodzaju reakcją na to jest decyzja Ministerstwa Kultury i Sztuki, które zlikwidowało coroczną Wystawę Ogólnopolską, mającą już dwudziestoletnią tradycję. Główny zarzut — niedostateczne wykorzystanie wystawy. Jeżeli radomianie chcą wpłynąć na zmianę decyzji, muszą zainteresować instytucje mogące być ewentualnymi nabywcami dzieł sztuki, jak i odpowiednio rozpropagować ekspozycję wśród społeczeństwa.

Od lat nie może się doczekać definitywnego rozstrzygnięcia lokalowego problemu biblioteka, ta jeszcze bardziej masowa niż MPIK instytucja kulturalna, która dusi się w ciasnocie urągającej podstawowym zasadom pracy bibliotekarskiej. Tymczasem liczba ludzi korzystających z jej usług systematycznie wzrasta, salki czytelników, dawniej puste, są teraz przepelnione. Oddanie biblioteczki kilku pomieszczeń jest tylko półśrodkiem. Niepokoje również zmniejszenie sum na zakup książek.

Mówiąc o toku w czytelnicy dochodzimy do zjawisk dla miasta nowych, które w przyszłości mogą radykalnie zmienić jego specyfikę.

W Radomiu nastąpił wzrost zainteresowań naukowych. Powstało Radomskie Towarzystwo Naukowe. Jego ożywiona działalność rozciąga się na szerokie dziedziny wiedzy, których zakres badań jest wspólny — własne miasto, własny region. Nie trzeba przypominać o korzyściach praktycznych, jakie taka działalność przyniesie.

Miastu przybyła filia Uniwersytetu Warszawskiego prowadząca również działalność upowszechniającą naukę, odbywają się spotkania z naukowcami, dyplomatai.

Utworzenie Średniej Szkoły Muzycznej wpłynęło na ożywienie życia muzycznego. Nad miastem objęła patronat Filharmonia Narodowa, dzięki temu co jakiś czas odbywają się tu koncerty z udziałem artystów o sławie światowej, na które czasem sprzedaje się nawet bilety na miejsca stojące. W końcowym stadium organizacji znajduje się Towarzystwo Muzyczne, które może przyczynić się do przejścia Radomskiej Orkiestry Symfonicznej na zawodowstwo.

Studium Nauczycielskie zastępuje wyższą uczelnię humanistyczną, dostarcza miastu coraz nowych i chłonnych odbiorców kultury, jakimi są jego studenci. Prowadzi również działalność wytworzącą pewne dobra kulturalne: słuchacze Studium pod kierunkiem pedagoga założyli własny Teatrzyk Poetycki prowadzący bardzo ciekawą, i w Radomiu pionierską, pracę. Ukształtowała się wreszcie grupa młodych poetów.

Młodzież zetemesowska przy współudziale miejscowych dziennikarzy (war to wspomnieć, że organizatorem koncertów patronackich jest redakcja „Zycia Radomskiego”) zorganizowała własną imprezę o nazwie „Dobry wieczór” zdobyło uznanie w całym województwie.

## O inne propozycje

Próba analizy będzie jednak niepełna, jeśli się nie zauważy, że Radom należy do województwa kieleckiego i znacznie się od niego różni. Radom jest miastem bogatym, kieleckie zaś regionem biednym, który ma zbyt wiele potrzeb gospodarczych, aby go było stać na duże inwestycje kulturalne. Z tego punktu widzenia kieleccyzna jest partnerem słabszym, nadrabiającym opóźnienia, a więc niezbyt korzystnym, nie mogącym dać tyle, ile potrzeba. Jednakże w budżecie wew-

nętrzym miastu powinny być chyba nieco inne proporcje niż w województwie między wydatkami na kulturę a resztą potrzeb i siłą rzeczy inny stosunek do kultury. Taki, który doprowadziłby jak najprędzej do stworzenia atmosfery kulturalnego miasta.

## Pożyteczne kompendium teatralne

OBFITY w jubileuszowe uroczystości rok 1964 zakończony został oceną dwudziestoletniego dorobku artystycznego Państwowego Teatru im. J. Osterwy w Lublinie.

Z tej to właśnie okazji dzięki subwencjom Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej wydano materiały wspomnieniowe pod redakcją Marii Bechzyce-Rudnickiej, zatytułowane „Teatr lubelski 1944—1964”.

Broszura nienagannie opracowana pod względem graficznym (gustowna okładka K. Kurzątkowskiego, materiały ilustracyjne i dobry papier), ukazuje w ciekawy sposób osiągnięcia pierwszego teatru Polski Ludowej, który już 12 sierpnia 1944 r. w niezwykle trudnych warunkach rozpoczął swą ofiarną służbę społeczną.

Zrzuca się w oczy starannie dobrane zestaw tekstów. Zaraz na początku znajdujemy w wymienionej publikacji długą listę osobistości wchodzących w skład Komitetu Honorowego, a następnie informacyjny szkic Marii Bechzyce-Rudnickiej o dziejach i pracy lubelskiego teatru w minionym 20-leciu.

Uwzględniono tu również artykuły mówiące o istotnych i charakterystycznych problemach współczesnej dramaturgii polskiej. Do takich prac trzeba zaliczyć właśnie artykuły: Stefana Treugutta „Współczesność dramaturgii współczesnej”, Jana Kłossowicza „Teatr eksperymentalny”, Wojciecha Natansonowa „Odrodzenie aktorstwa polskiego”.

Syntetyczny szkic Stanisława Dąbrowskiego „Z dziejów teatru w Polsce od zarania do roku 1939” przynosi zarys dziejów kultury teatralnej w naszym kraju.

Zawartość broszury uzupełniają: 1) miłe, a nieraz i bardzo wzruszające wspomnienia ludzi związanych z teatrem lubelskim (Zofia Modrzewska, Halina i Jan Machulscy, Aleksander Aleksy), 2) fragmenty recenzji traktujących o poszczególnych premierach, 3) kompletne spisy wystawionych sztuk opatrzone w szczegółową dokumentację bibliograficzną (dotyczy to również małej sceny „Reduta 61”).

Całość publikowanych materiałów zamyka wykaz aktorów lubelskiego teatru dramatycznego w okresie 1944—1964.

O wieloletnim kierowniku literackim teatru w broszurze mało się mówi, choć lublinianom znane są zasługi Marii Bechzyce-Rudnickiej, jako recenzenta teatralnego i współorganizatora życia literackiego w naszym mieście.

W sumie broszura informuje o poważnych osiągnięciach lubelskiego teatru, a dzięki trafnemu doborowi materiałów, może być z powodzeniem uważana jako solidne i pożyteczne kompendium aktualnej wiedzy o Państwowym Teatrze im. J. Osterwy i problemach teatru w Polsce.

Wydaje się jednak, że tego rodzaju publikacja powinna informować nie tylko o pozytywach, ale także szukać przyczyn słabości, czy choćby niedociągnięć naszego teatru. Taki punkt widzenia dawałby pełniejszy, a więc prawdziwszy, obraz działalności teatru, a jednocześnie byłby na pewno pożyteczny na przyszłość.

Henryk Zawistowski

\* Teatr lubelski 1944—1964. Materiały pamiątkowe pod redakcją Marii Bechzyce-Rudnickiej, Lublin 1964, s. 63, z. 18.

od BIEBRZY  
NO BIESZCZADY

## BIAŁYSTOK

W centrum Hajnowki jest gablota, w której wystawia się nowości książkowe razem z recenzjami. Ale najważniejsze, że gablota jest stale zapelniona i stale aktualna.

W powiecie Łapy co czwarty mieszkaniec korzysta z bibliotek publicznych. Każdy z czytelników przeczytał przeciętnie 16 książek w ciągu roku, w tym 4 popularno-naukowe.

W ub. r. szkolnym 1700 uczniów powtarzało rok. Jak obliczono, kosztowało to państwo ok. 20 mln zł.

Po dłuższym okresie obudził się klub ZMS w Elku — „Nowalijka”. Działalność jest szeroka i ciekawa — oby tylko na stałe.

## RZESZÓW

Ukazało się drukowane sprawozdanie z sześciomiesięcznych badań archeologicznych, prowadzonych przez wojewódzkiego konserwatora oraz muzea w Rzeszowie, Krośnie, Przemyslu i Sanoku. W badaniach brali udział także naukowcy z Lublina.

Dużym powodzeniem cieszy się w Rzeszowie wystawa współczesnej sztuki ludowej naszych i województw. Obejmuje ona ceramikę, rzeźbę, tkaniny, wyroby z żelaza i zabawki. Następne etapy — to Przemysł i Białystok.

W woj. rzeszowskim obradowała sesja wyjazdowa klubów SDP — Bibliotek Polityki Kulturalnej i Oświatowo-Wychowawczej.

W 500 kinach oświatowych województwa odbyło się w ub. r. 12 tys. seansów filmowych, głównie w szkołach. „Filmos” ma ok. 3 tys. tytułów.

W muzeum w Przemyslu znajduje się ok. 600 cennych ikon, malowanych na drzewnie lub płótnie. Część z nich została ostatnio zakonserwowa-

na przez pracowników Muzeum Historycznego Ludowego w Sanoku.

## LUBLIN

Rozgłośnia Lubelska Polskiego Radia oraz Lub. Towarzystwo Naukowe zorganizowały cykl wykładów popularno-naukowych z różnych dziedzin życia. Wykładowcami są pracownicy naukowcy z miejscowych uczelni.

Najstarszy w województwie zespół amatorski w Siemnicy Różanej w pow. krasnostawskim obchodził wkrótce swoje dwudziestolecie. Pierwszy występ odbył się jeszcze w r. 1944.

Od kilku tygodni istnieje w Lublinie rada klubów, zrzeszająca kierowników 19 tych placówek. Luty ogłoszono „miesiącem klubów”, co ma się wyrazić dużym ożywieniem pracy, urządzaniem większej liczby ciekawych imprez oraz turniejami prasowawczymi.

## KIELCE

W osiedlu przy ul. Zagórskiej w Kielcach otwarto szóstą już w tym mieście świetlicę środowiskową TPD. Młodzież sama kupiła sobie radio z adapterem za ośmiadzie, otrzymane z komitetu blokowego za opiekę nad zielenią.

Zarząd Wojewódzki TPP-R urządzi konkurs dla wykonawców piosenek radzieckich, dostępny tylko dla amatorów. Zgłoszenia do 25 lutego (ul. Kościuszki 6).

„Czy można wyskoczyć z pedzatego pojęcia?” — to nowy, piąty program Teatrzyku Dziennikarza i Aktora. Scenariusz w oparciu o książkę J. Putika „Sumienie” opracował Tadeusz Malak i Ryszard Smolewski.

Dla porównania z woj. rzeszowskim w ub. r. w powiecie kieleckim na 3 szkół posiadających projektor, wyświetlono tylko 1 film.



**Z** DZIAŁALNOŚCI kilkunastu białostockich klubów spotykamy się na co dzień. Wiemy, że regułą jest kawa, telewizor, odczyt, film, brydż (nie wszędzie i nie często), czasem jakaś dyskusja, występ kameralny. Od tych „regulaminowych” poczynań bywają niekiedy odstępstwa. Mogą to być różnice wypływające ze specjalizacji danego klubu (jak np. sprawy filmowe uwypuklone w działalności

Głównym jednak zadaniem w pracy klubów — wydaje się — powinno być w chwili obecnej wykorzystanie wszystkich możliwości w celu jak najintensywniejszego nasytowania pracy merytorycznej treściami ideowymi wychowawczymi. Z osobistych obserwacji i wielu rozmów z zainteresowanymi dochodzą do wniosku, że jest to niemożliwe bez ścisłej współpracy klubów ze sobą oraz z instytucjami, organizacjami i stowarzyszeniami. Nad tym zagadnieniem warto się zastanowić.

## Efekty współpracy

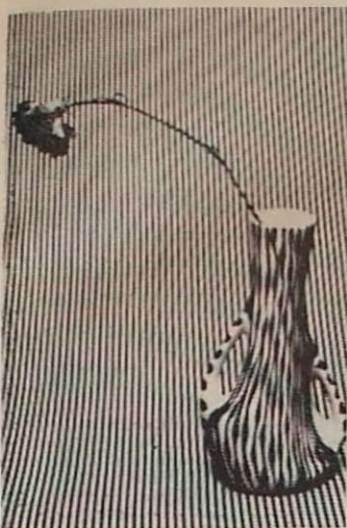
Jak ta sprawa wygląda w Białymstoku? Niejednokrotnie dostrzec można pozytywne przykłady. Dzielnicy Dom Kultury na Nowym Mieście — z braku odpowiedniego pomieszczenia i nader słabych środków materialnych — nawiązała ścisłą współpracę z miejscową jednostką wojskową. Efektem tej współpracy są wspólne odczyty dla wojskowych, ich rodzin oraz cywilnych mieszkańców osiedla, dyskusje po ciekawszych spektaklach telewizyjnych. W oparciu o te oba środowiska pracują zespoły amatorskie i kółka zainteresowań. Klub Siedmiu (nazwa tradycyjna, bo liczba stowarzyszeń twórczych dawno już się zmniejszyła) korzystnie układa swoją działalność z organizacjami społecznymi i młodzieżowymi (np. ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej, w której wyniku odbyła się ostatnia udana premiera Teatryku Poezji ze „Słowem o Jakubie Szeli” — Jasińskiego) w tych poczynaniach, które przerażają jego możliwości finansowe. Trzeba się zastrzeżać, że nie chodzi w tych wypadkach o naciąganie bogatego wujka, gdyż korzyści ze współpracy czerpie zarówno jedna jak i druga strona.

Pewne efekty ma też Klub Handlowców, który koordynuje działalność

z placówkami podległymi temu Związkowi, jak również ze Związkiem Młodzieży Socjalistycznej (praca z młodzieżą).

Nie upajamy się jednak sukcesami. Nie wszystko przebiega jak w kochającej się rodzinie. W wielu wypadkach opinia układa się współpraca ze związkami twórczymi. Kto nie wierzy, niech przejdzie się po klubach, przejrzy sprawozdania. Plastycy np. skarżą się niejednokrotnie na brak pomieszczeń dla swych wystaw. Rzeczywiście, budowa pawilonu wystawowego jest sprawą palącą i wszyscy się z tym zgadzają. Ale nim to nastąpi, warto chyba pomyśleć o wykorzystaniu licznych jeszcze powierzchni ścian klubów białostockich (zbieżnych przezrzedliwą pustką) dla niewielkich ekspozycji plastycznych. Nie wydaje się, żeby nie było to na rękę zarówno plastykowi jak i kierownikom klubów. Węć co? Brak wzajemnych kontaktów?

Zatrzymajmy się chwilę nad sprawą środowiska pisarskiego. W Białymstoku nie ma oddziału Związku Literatów Polskich, jako że członków Związku jest zaledwie czterech w naszym mieście. Oni też w większości mieli po kilka wieczorów autorskich w klubach. A inni piszący w liczbie około dwudziestu nie-członkowie lecz zrzeszeni w Klubie Literackim? Niektórzy spośród nich mają po tomiku wydanych wierszy, niektórzy zostali nagrodzeni w konkursie literackim. Jakże będzie ich pisarstwo bez konfrontacji z odbiorcą, jego gustami i zainteresowaniami? I co (przy tych naprawdę niewielkich możliwościach publikacji) może społeczeństwo wiedzieć o ich pisarstwie? Przypomnę o pewnej imprezie, którą w zeszłym roku zorganizował Wojewódzki Dom Kultury (o czym zresztą donosiliśmy w „Kamieniu”). Był to wieczór poezji, muzyki i plastyki. Aktorzy Teatru im. Węgierki czytali wiersze kilku białostockich poetów, krytyk P. Kuncewicz omówił ich twórczość, uczniowie Szkoły Muzycznej wystąpili z pieśniami.



Fot. Zbigniew Zuga

Klubu Pracowników Kultury) lub też związane z warunkami lokalowo-finansowymi. W każdym razie pewna specyfika działalności poszczególnych placówek kulturalno-oświatowych daje się zauważyć i zazwyczaj (jeśli tylko nie przejawskrawiona) jest zjawiskiem pozytywnym.

(Dokończenie ze str. 7)

kałamarze do wszystkich lalek, aby dzieci miały wygodę i w zimie nie nosiły atramentu, przez to nie chlapały lalek, palców, książek itp. Z zarobku na sklepiku szkolnym kupiono palnik spirytusowy do lampy projekcyjnej za 120 zł, ponadto wiele rzeczy nam potrzebnych, o czym obszernie mówią księgi rachunkowe.

Dażyłem do kupna maszyny do szycia, lecz mi się to nie udało z braku gotówki, ale w przyszłym roku maszynę taką muszę kupić, bo konieczna jest do nauki robót”.

„Rok ten (1931—1932) obfitował w szereg poważnych zmian i różnych atrakcji. Przede wszystkim stał pod znakiem redukcji personalnych i oszczędności, co miało być zrobione kosztem i tak dość niskich uposażeń. Do końca roku szkolnego obciążo nam pobory o 25—30 procent, a jest nadzieja, że dalej będą obcinać. Nie trzeba mówić o tym, że wplynęło to ujemnie na psychikę nauczyciela, co w następstwie odbiło się na jego pracy w szkole. Ciągłe napięcie nerwowe wysilało go i każdy z utęsknieniem oczekiwał końca roku szkolnego, aby nie mieć nic wspólnego z urzędowaniem, redukcją, niepewnością”.

„W grudniu 1931 r. odbył się spis ludności, w którym częściowo i nauczycielstwo wzięło udział. Szkole dał on wymiar rzeczywistej ilości dzieci na terenie. Okazało się, że rodzice kryją swe dzieci przed obowiązkiem szkolnym”.

„Społeczeństwo miejscowe przychylnie odnosi się do szkoły. Chętnie przychodzą na zebrania rodzicielskie i co mogą, to dla szkoły dają. W tym roku szkolnym (1932—1933) zgodzili się przysłać do domu trochę pożywienia w różnej formie dla biednej dziatwy szkolnej, celem odżywienia jej. Grono nauczycielskie przystąpiło bowiem do odżywiania biednych dzieci, gdyż kryzys wciągnął się już i do ludności miejscowej, która do tej pory przy fabryce miała zajęcie i warsztat do pracy. Obecnie bardzo dużo robotników wy-

dalono, a także zredukowano roboty do najkonieczniejszych. Przez długi czas kwestia istnienia cukrowni była bardzo zachwiana. Byłaby to dla Milejowa katastrofa”.

„Wiszący nad Milejowem miecz — spadł. Cukrownia została zamknięta. Materialnie dotyka to bardzo szkołę, gdyż traci węgiel, jaki gratis otrzymywała, nadto dzieci fabryczne były le-

**Rekopis  
znaleziony  
w Milejowie**

piej materialnie dotowane — w obecnym stanie rzeczy, dzieci bezrobotnych powiększyły grono biedoty, którą szkoła musiała dożywiać. Nie dość, że źródło pomocy materialnej dla szkoły wyschło, nadto przybyło więcej dzieci, które należy dożywiać. Stan ciężki, co odczuć się dało zaraz w mniejszej ofiarności rodziców na cele społeczne i trudnością w uzyskaniu tych pomocy naukowych dla szkoły, jakie dzieci winny były mieć”.

„Jakkolwiek pogłębiający się kryzys gospodarczy w kraju powinien być przyzywaczem nauczycielstwa do różnych niespodzianek w rodzaju redukcji uposażenia, to nałożony podatek dwuletni na wysokości od 7 procent uwydatnił się boleśnie... Zadużenie wszystkich osób, mimo różnych redukcji potrzeb nawet niezbędnych zaczęło gwałtownie rosnąć. Na terenie tutejszej szkoły są tacy nauczyciele, którzy zadużeni są we wszystkich możliwych kasach, a żyją w domu i poza domem zupełnie skromnie. Jeden luksus — to gazeta i radio.

Na dobitkę wszystkiego na ramieniu nauczycielstwa spadł jeszcze jeden społeczny ciężar, mianowicie spółdzielnia spożywców. Placówka ze uszech

miar poważna, lecz trudna do prowadzenia, gdyż obdużona, borykała się z kłopotami finansowymi.

Dożywianie dzieci jak corocznie rozpoczęło się w miesiącach zimowych. Komitet dożywiania zebrał pewną część funduszu i naturalia, co pomogło w rozpoczęciu tej akcji. Dwukrotnie wrzuciłem się do właściciela cukrowni, p. Bronieuskiego Kazimierza, do Warszawy, aby ofiarował cośkolwiek na ten cel, lecz nawet nie odpowiedział. A biedota, która z różnych stron świata zjechała, aby pracować w tutejszej cukrowni i zarabiać na chleb codzienny, została pozbawiona tego warsztatu. Sytuacja głodnego nie rozumie. Dzieci tych sezonowych robotników to ze strony fizycznej obraz nędzy i rozpacz.

Harmonia wśród nauczycielstwa zaczęła się psuć. Ludzie zdenerwowani, często nie są w stanie zapanować nad sobą i swoimi nerwami, stwarzają niemiłe dysonanse, które kolidują z przyzwoitością, a bodają nawet z kodeksem karnym. Przyszłość rozwiąże ten najtrudniejszy problem, który decyduje o spoiściści szkoły i jej wartości. (Milejów w lipcu 1936 r.)”.

„Rok szkolny 1937/38. Ludność miejscowa zdołała się przyzwyczaić do faktu, że cukrownia nie przynosi dochodu i swoje budżety układa z tym przeświadczeniem...”

Stosunek urzędu gminy Brzeziny do szkoły tutejszej bardzo niewyraźny. Mimo że gmina posiada gotówkę złożoną w PKO, spotykałem trudności w uzyskaniu pieniędzy na niezbędne nawet potrzeby szkolne. Do oddalonego o 13 km urzędu gminnego nieraz trzy razy musiałem posyłać rachunki do zrealizowania na monetę. Naturalnie, że utrudniało mi to pracę...

Dozór szkolny nie istnieje (tylko do nominie), gdyż wziął go w kuratelę urząd gminy. O wszystkich sprawach decydował wójt gminy. Jedynie kary za nie uczęszczanie dzieci do szkoły mógł nakładać dozór szkolny.

W księdze metryk można zaobserwować duży ruch. Byli pracownicy cukrowni wyjeżdżają zabierając dzieci”.

Opr. R. Karaś

Wszyscy mówili wówczas o pożyteczności tej imprezy i potrzebie jej powielania, na tym się jednak skończyło. A szkoda.

## Wymiana doświadczeń

No i jeszcze jeden problem: porozumienie i wymiana doświadczeń pomiędzy klubami.

W ub. roku powołano przy Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych Klub Kierowników Klubów. Uważam, że był to jeden z najszybszych pomysłów w naszym życiu kulturalno-klubowym. Gdzie bowiem lepiej jeśli nie w tym gronie omawiać „na roboczo” swoje poczynania, zachęcać kolegów do sprawdzonej już dobrej imprezy, przestrzec przed złą; omówić nowe, eksperymentalne formy pracy, czy choćby podyskutować na temat trudności techniczno-administracyjnych. Nasuwają się jednak pewne postulaty. Diacząco do tego „nadklubu” należą tylko placówki związkowe? Bo zorganizować go WKZZ — może mi ktoś odpowiedzieć — i ona troszczy się o swoje placówki. Ale czy w pracy klubów związkowych nie występują podobne, jeśli nie identyczne problemy, co dajmy na to w klubach studenckich, „Ruchu”, Dzielnicy Domu Kultury? Chyba nie chodzi o zarządzanie przez WKZZ podległymi placówkami w sensie pracy merytorycznej, lecz o pomoc. A taka przydałaby się i innym placówkom bez względu na firmę, nie mówiąc już o wspomnianej wyżej wymianie doświadczeń.

## Listy do „Kamienia”

# UMSC nie UMCS

W numerze 21 „Kamienia” z dnia 15.XI. 1964 r. w kilku miejscach zauważyłem nieprawidłową pisownię nazwiska naszej znakomitej uczonicy Marii Skłodowskiej-Curie, w formie niezgodnej z przyjętą u nas chronologią i zwyczajem, a mianowicie: Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (a także w wielu innych miastach) oraz ostatnio odsłonięty pomnik Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie...

W związku z tym nasuwa się pytanie, czy przytoczone przykłady nieprawidłowej pisowni mogą być precedensem do utrwalenia się wbrew zaleceniom językoznawców?

Nadmieniam, że w poruszonej przeze mnie sprawie zabrał głos Syrenka w tyg. „Świat” nr 71964 z dnia 16.II.1964 r. oraz prof. W. Doroszewski w Radiowym Poradniku Językowym w dn. 30.X.1964 r., wskazując na to, że powinno się pisać najpierw nazwisko panienci a potem nazwisko po mężu.

Przyuszczam, że odpowiedniej wyjaśnienie tej sprawy znajdzie się także w publikacji pt. „Nazwy i nazwiska. Porady językowe” (oprac. S. Urbańczyka), która podobno ma się niedługo ukazać w wyd. Ossolineum.

Byłoby może wskazane, aby Redakcja zechciała ten temat poruszyć na swych łamach i zaapelować do właściwych władz o wprowadzenie odpowiedniej korekty w nazwach noszących imię naszej znakomitej rodaczki Marii Skłodowskiej-Curie.

Uwaga: Przykład poprawnej pisowni mamy w Warszawie:

- a) w Muzeum Techniki — ekspozycja poświęcona Marii Skłodowskiej-Curie.
- b) w Instytucie Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie.

z poważaniem  
inż. Jerzy Kubiakowski  
Warszawa  
Mochnackiego 21 m. 23

## Duszne westchnienia

**A**CH ty — myślę sobie — papierze! Takiś biały i miękki, niby wdzięcznie poddajesz się pieszczotom setek tysięcy piór, które w odczuciu rano, wieczór i za dnia gładzą cię, a taki jesteś, taki jesteś przewrotny. Człowiek stawiający znaczki na papierze nie tylko w ten prosty sposób znajduje ujęcie dla swojej potrzeby kontaktów z przemysłowym owocem drzewa. Istnieją inne bardziej wyrafinowane potrzeby, przy których zaspokojeniu papier bywa szczególnie pożądanym, papier jedwabisty, szeleszczący. Takiego, psiać, często nie ma, choć potrzeb odłożyć nie można.

Dlatego nie ukrywam, bardzo silnie podzielała na mnie wiadomość, że duża hurtownia w Kielcach oddała innemu wojewódzkiemu miastu 300 tysięcy rolek upragnionej materii. Jak to, mieć tak wielki zapas poszukiwanego dobra i pozbywać się go dobrovolnie, podczas ustawicznej posuchy?

Pogrzeźmy się w poważnych i smutnych rozmyśleniach. W ujęciu historycznym problem przedstawił się następująco: przed laty nie mieliśmy dość papieru dla celów intymnych, bowiem nasz kraj miał za mało fabryk specjalizujących się w takiej produkcji. Gdy po pewnym czasie ich przybyło, kontakt z miękką rolką nie uległ zacieśnieniu, ponieważ ów jedwabisty papier był masowo wykupywany przez różne instytucje. Okręcano nim, by chronić przed trudami transportu, żyrandole, rowery, karnisze, szczotki i zapewne setki innych przedmiotów pochodzących z rosnącego jak na drzewach przemysłu. Był to niewątpliwie poważny awans papieru, ale dusze (właściwie co z tym dusza ma wspólnego) nadal rwały się, by użytkować go zgodnie z odwiecznym porządkiem. Wtedy wyszło zarządzenie zabraniające ogolacania dusz z należącego im przywileju, który już średnio-wieczny Gargantua potrafił docenić, rozkoszując się w różnych wymyślnych, co tu gadać, podcierkach. Rolki pojawiły się więc w handlu, ale na krótko, nietrwale, raczej mając dusze niż służąc im. I właśnie teraz nadeszła wiadomość o odstąpieniu tak wielkiej szeleszczącej partii komuś innemu.

Nawet najbardziej wyrafinowane potrzeby nie zmieniają istoty bodźców ekonomicznych. Papier jest tani, zarabia się na nim niewiele, a plan sklepowy to wytyczna niezłomna. Chcesz wykonać plan — nie handluj papierem w rolkach. Oto cała tajemnica pełnych magazynów hurtowych i pustych półek w sklepach.

Teraz otwierając drzwi sklepu rzucam w stronę lady pytanie: czy możecie usłużyć mi odrobiną antybodźca? Po odpowiedzi z reguły dla mnie niepomysłnej, odwracam się ku półkom całą duszą i każę jej patrzeć, by sama mogła się przekonać, jak przemienne władają nami antybodźce. Potem idę do domu i bliźniaczko wydzieram sobie porcję białych kartek. Tyle zapiszę, a tyle, hm, oddam dziś i jutro na pokarm dla duszy. Nic na to nie poradzę, bo dusza ma swoje stare, niewzruszone prawa, wcale nie mniej niezłomne niż plany i bodźce ekonomiczne.

Jędrzej

## Przeгляд Prasy

Podługim okresem ścisłej centralizacji i zapatrzenia w stolicę zaczyna się obecnie proces odwrotny. Przebiega on bardzo powoli, nie zawsze odbywa się w linii prostej, ale są już wcale liczne przykłady miast wojewódzkich, które urastają do rangi samodzielnych ośrodków. Samodzielnych i samowystarczalnych. Tek przez uzyskanie zespołu odpowiednich instytucji, jak i wytworzenie własnych środowisk twórczych. Miastem, gdzie te tendencje także się ujawniają jest Rzeszów. Sprawy rzeszowskie nieraz gościły na tych łamach i na pewno będą powracać w jeszcze większym nasileniu. Problematyka rzeszowska gości także często na łamach czasopism ogólnopolskich.

We „Współczesności” wraca do niej K. Bosek w artykule Rzeszów Literacki. Rzeszów — miasto kontrastów i kompleksów — powiada reporter. Wyposażone w niezbędne zaplecze kulturalne i poddane parciu cywilizacji przemysłowej; tak, ale są i bieguny ujemne. Jednym z kompleksów jest, zdaniem Boska, brak czy niedorozwój własnego środowiska literackiego. Korespondencyjny Klub Młodych nie mógł tego załatwić, młodzież literacka nie zapowiada jeszcze zbyt wiele. „Brakuje tam ożywego technicznego dyskusji, twórczych poszukiwań, sporów, ambicji wyrażonej artystycznym kształtem”. Ale mimo wszystko „literacki Rzeszów ma kilku, na których talent i pracę można postawić z powodzeniem. Rzecz jednak w tym, że nie miał kto tego zrobić. Nie wykorzystano wielu szans określenia bodaj najskromniejszego miejsca na literackiej mapie kraju, nie wykorzystano prawdziwych ambicji, które mogłyby dopomóc procesowi formowania się i krzepnięcia młodego środowiska, za brakło mecenatu”. Ostatnio sytuacja zmienia się jednak, są bowiem znaki, że nastaje inny klimat, inne widzenie tych spraw ze strony władz. Są też dane, które otwierają przed rzeszowskim środowiskiem literackim nowe perspektywy.

Wokół tych samych spraw obraca się list z Rzeszowa pt. W poszukiwaniu wektora, zamieszczony przez A. Bajkowskiego w „Życiu Literackim”. Poprzednie listy Bajkowskiego, czasem istotnie pamfletowe i złośliwe, powodowały rozmaite sprostanowania ze strony Rzeszowa. W tym, obserwacje i wnioski pokrywają się z poprzednim artykułem. Bajkowski pisze o dwójnym obliczu Rzeszowa: „Ta dwójność atmosfery jest, jak sądzę, zjawiskiem dla Rzeszowa znanym. Wielkomiejskość i prowincjonalizm, stanowią

tutaj dwa wektory, wyznaczające wielkość trzeciego — jego śladem biegnie droga ogólnego rozwoju miasta”. Wielkomiejskość — to rozbudowa bazy kulturalnej miasta — inwestycje, imprezy, w tym głośne Rzeszowskie Spotkania Teatralne. A prowincjonalizm? To sprawa kadry kulturalnej. Bajkowski twierdzi, że najpierw muszą być perspektywy i potrzeba działania, potem tzw. „warunki”. A w Rzeszowie czyni się odwrotnie. Dlatego kadra aktorów, muzyków, dziennikarzy i działaczy małego „Powstańca” pytanie: kto za lat kilka wypełni działaniem piękne planowane gmachy. Kulturotwórcy przybijający dokądkolwiek nie w wewnętrznej potrzebie, lecz dla mieszkania — taki kulturotwórca będzie w większości wypadków nie inicjatorem, nie ogniem zapalnym, lecz najwyżej rzemieślnikiem”.

Polemista by dodał, że dziś najtrudniej właśnie o dobrego rzemieślnika i właśnie o warunki (sale, pomieszczenia — w Lublinie coś o tym mogą powiedzieć). Ale trzeba się zgodzić z wnioskiem i Boska, i Bajkowskiego: nikt nie stworzy środowisk twórczych dla Rzeszowa poza nim samym. Musi zaistnieć klimat i odpowiednie warunki, żeby one mogły się tworzyć i rozwijać. A przy tym trzeba nieco wyrozumienia, cierpliwości i dalekiego widzenia.

T. K.

## TU i ówdzie

### Proszę wybierać...

Wolny dostęp czytelników do regaliów bibliotecznych, zainicjowany w Związku Radzieckim przy końcu lat dwudziestych, przechodził różne koleje i dziś jeszcze natrafia niekiedy na opór. W ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci leży nakładów książek osiągnęły w ZSRR, jak wiadomo, fenomenalną wysokość, wymagania społeczeństwa znacząco nie wzrosły, ogólny poziom oświaty i kultury podniósł się wydatnie, ale niezależnie od tych faktów pokierowanie lekturą czytelnika jest w wielu wypadkach bardzo wskazane. Autorka artykułu poświęconego tej sprawie w piśmie „Sowietskaja Kultura” sugeruje, że system „otwartych półek” jest właśnie wyższą formą takiego poradnictwa. Usuwając się od bezpośredniej ingerencji bibliotekarzy łączący erudycję z taktem pobudza inicjatywę czytelnika, a stale się szarżem jego kompetentnym i przyjaznym konsultantem.

### Ratujmy młodych!

Krytyk dziennika „L'Humanité” ubolewa nad zapaleniem ostatniego Salonu Młodego Malarstwa — pop-artem. Po sukcesie Amerykanina Rauschenber-



Anna Socha - Jelonkova — „Kalinowszczyzna” — tuż lata.

## W poszukiwaniu właściwej drogi

**A** NNA Socha-Jelonkova należy do młodszego pokolenia artystów lubelskich, lecz brała już udział w kilku poważnych imprezach artystycznych; specjalizuje się w grafice, toteż prace jej można było zobaczyć na dwóch ostatnich „Biennale” w Krakowie, na wystawach w Sopocie i w czasie ubiegłorocznej wystawy marynistycznej w Warszawie, nie licząc przy tym całego szeregu ekspozycji okręgowych.

Posługuje się przede wszystkim techniką drzeworytu lecz często rysuje tużem, a rzadziej zajmuje się litografią. Najogólniej biorąc, można podzielić jej pokazań już twórczość na dwie grupy, których wyznacznikiem będzie stopień transpozycji motywów świata zewnętrznego. Formy z jej grafik dają się przeważnie identyfikować z rzeczywistymi, w nielicznych tylko wypadkach noszą charakter zdecydowanej abstrakcji. Ta ostatnia grupa prac afiguralnych pozbawiona jest cech bardziej indywidualnych, a więc i przekonawających. Niektóre drzeworyty — nazwijmy je umownie przedstawieniowymi — także wskazują na dość szerokie czerpanie z obcych źródeł, najczęściej z Panka.

Natomiast własny i sugestywny charakter mają prace takie, jak drzeworyt „Drzewa” czy tuż „Pejzaz”, dające osobistą wizję autorki i świadczące o uczuciowym stosunku do rzeczywistości jako przedmiotu interpretacji. I właśnie umiejętności tworzenia nastroju z jego całym zróżnicowaniem stanowi o bezspornych zaletach tej grafiki, tym bardziej, że nastroj nie utożsamia się z mdłym sentymentalizmem; dzięki temu twórczość Jelonkovej odnajduje wspólny język z ludzkimi sprawami.

Autentyczną część dorobku graficznego określa ciekawa i różnorodna forma polegająca na eksponowaniu kontrastowanych płaszczyzn czerni i świetlistej bieli lub na stosowaniu „puzystego” waloru; równie często spotkać można dekoracyjne rozwiązanie powierzchni, na których pojawiają się drobne kształty rytmicznie powtarzane w obrębie poszczególnych części drzeworytu („Rybak naprawiający sieć”, 1964).

Podsumowując uwagi nasuwające się po obejrzeniu indywidualnej wystawy grafiki A. Sochy-Jelonkovej można stwierdzić, że twórczość ta zmierza do osiągnięcia indywidualnego charakteru, choć na jego pełnię należy jeszcze poczekać.

I. J. K.

P. S. Jury lubelskiej wystawy „20 lat PRL w twórczości plastycznej” przyznało A. Sosze, - Jelonkovej jedną z dwu II nagród w dziedzinie grafiki.

## Odpowiedzi Redakcji

P. P.

D. M. W OSTROŁĘCE. Z przysyłanych wierszy zatrzymujemy „W starym zamku”, „Córce mojej Ewie” i „Epitafium”. Jeden z nich drukujemy w tym numerze.

R. W. WE WROCŁAWIU. Tużem! Do kwadrantu. Cytułem z wiersza „Sny zimowe”: „Człowieku, opamiętaj się!”.

Kim. B. W MYŚLENICACH I A. PIL. W KRAKOWIE. Brak miejsca nie pozwala nam korzystać z wierszy autorów nie pochodzących z czterech wschodnich województw. Czynnym to tylko w wyjątkowych wypadkach.

J. ZAN. W SOKÓLCE. To całe „sokólskie nowatorstwo” nie nadaje się do druku.

WIERSZE „LOLKA” Z NARWI — jak wyżej.

dnia naszego życia, na pamiętkę o ofiarowanym kawalku chleba, o kryształowej jasności tych dni”.

### Czy scena wyżwi pisarza?

To pytanie jest dla dwutygodnika „Theater der Zeit” punktem wyjścia do głębszej analizy stanu i sytuacji współczesnej dramaturgii NRD. Aby zabezpieczyć swemu autorowi caloroczne przywileje utrzymania, utwor sceniczny musi sięgnąć na widownię ok. 100 tysięcy widzów. Otoż na sto krajowych sztuk współczesnych wystawionych w ostatnim pięcioletniu zaledwie 15 odpowiada temu warunkowi. Dane statystyczne świadczą o niedostatecznym zainteresowaniu publiczności krajowymi sztukami współczesnymi. Przyczyna leży zresztą w ich zawężonej problematyce. Toteż tylko znikoma liczba sztuk autorów NRD wytrzymuje próbę bodaj lat dziesięć.

### Surrealista o sztuce proletariackiej

Francuska seria książek o sztuce wzbogaciła się niedawno wielką pracą o Chagallu (stron 112, reprodukcji 1200) pióra Franza Meyera. Wnikliwy badacz, który przestudiował ze szczególną pieczołowitością dokumentację związaną z porwulocyjnym okresem wielkiego Chagalla, podaje m. in. takie powiedzenie małomłodego malarza: „sztuka proletariacka nie jest sztuką dla proletariackiego. Jest to sztuka malarza proletariackiego. Zdolności twórcze leżą w nim nie w świadomości proletariackiej, ale w doskonałości, że jego osoba i talent należą do społeczeństwa”.

Beer

# Z notatnika podróży amerykańskiej

(Dokończenie ze str. 3)

(doskonały Henry Fonda) z niewi-  
doczynym radzieckim premierem. By  
go przekonać, że to wszystko po-  
myślnie, prezydent proponuje pre-  
mierowi, że jednocześnie z Moskwą  
zniszczą Nowy Jork. Tyko w ten  
sposób uniknąć można wojny ter-  
mojadrowej i całkowitej zagłady  
ludzkości.

Amerykańska produkcja filmo-  
wa — walcząca ciężko z konkuru-  
jącą telewizją — to oczywiście  
nie tylko takie filmy, jak „One  
Potato, Two Potatoes” lub „Fail  
Safe”. Obok filmów artystycznych  
przeważają większość produkcji  
to nadal różne kicz i westerny  
nie najwyższej jakości. Ale fakt  
zjawienia się tych dwóch filmów  
jest godny odnotowania.

**Galeria sztuki.** W tej dziedzinie  
jako „konsument kultury” czuję  
się najmniej kompetentny, jednak  
że chciałbym wspomnieć o byt-  
ności w kilku amerykańskich mu-  
zeach, zwłaszcza że rozpowszech-  
nione jest u nas mniemanie, że  
w Stanach Zjednoczonych w ogóle  
nie ma godnych uwagi galerii sztuki.  
Amerykanie rzeczywiście zaczęli  
gromadzić dzieła sztuki znacznie  
później niż, powiedzmy, paryscy  
„Louvre” czy leningradzki „Ermitaż”.  
Jednakże dzięki milionowym  
funduszom zdolali zakupić niejed-  
no arcydzieło.

W waszyngtońskiej „National  
Gallery of Art” obejrzeć więc  
można z jednej strony wspaniałe  
płótna Duerera, Granaacha, Rem-  
brandta czy El Greco, a z drugiej  
— nowoczesnej — dzieła Picassa,  
Matisse'a czy popularnego w Ame-  
ryce Salvadora Dalí'ego, choć mu-  
zeum zbudowano (przy pomocy  
milionów rodziny Mellonów) dopie-  
ro w latach 1937—41.

W nowojorskim „Museum of Mo-  
dern Art”, niedawno ponownie  
otwartym po rozbudowie i zmianie  
ekspozycji, zgromadzono arcydzieła  
XX wieku — Chagall, Miro, Leger,  
Kandynski, Malewicz itd. itd.  
Tu znajduje się „Guernica” Pi-  
cassa z zamieszczonym obok —  
dla uspokojenia amerykańskiego  
mieszczucha — napisem: „Picasso  
sam stwierdził, że obraz nie ma  
żadnego politycznego znaczenia i

wyraża po prostu nienawiść do  
wojny i brutalności”. Napis jest  
głupi, ale obraz wspaniały.

Wspomnę jeszcze o zbudowanej  
w ostatnich latach „Gallery of  
Modern Art”, również w Nowym  
Jorku. W nowoczesnym, choć —  
moim zdaniem — pretensjonalnym  
budynku zgromadzono wiele inte-  
resujących obrazów. Jedynym  
reprezentantem Polski jest... Jan  
Styka.

**Przygody z teatrem.** Gdybym ten  
artykuł pisał o tydzień wcześniej  
napisałbym w tonacji raczej po-  
zytywnej również o przemianach  
w amerykańskim życiu teatral-  
nym. Faktem jest bowiem, że w  
porównaniu z poprzednią moją  
podróżą do Ameryki (w 1956 roku)  
zauważyłem wiele zmian na  
lepsze. Więcej jest znacznie teatrów  
poza Nowym Jorkiem (znow  
mierniki: 7 teatrów w 3-miliono-  
wym Los Angeles to dużo, gdy  
dawniej nie było ani jednego, ale  
to mało w porównaniu z War-  
szawą) i znacznie ciekawszy jest  
repertuar. Można teraz w Ame-  
ryce obejrzeć sztuki klasyczne  
(Szekspera lub Cechowa) i no-  
woczesne (Dürrenmatta czy Iones-  
co), co dawniej było niemal  
niemożliwe.

Dlaczego jednak nie mogę pi-  
sać w tonacji pozytywnej? Bo jak  
wynika z gazet nowojorskich, do-  
szło do kryzysu w najpoważniej-  
szej amerykańskiej placówce teat-  
ralnej — w teatrze rewertuarowym  
im. Lincolna, w którym ogląda-  
łem „Po upadku” Artura Millera  
w doskonałym wykonaniu. Teatr  
ten, jedyny zespół w Nowym  
Jorku oparty nie na zasadach komer-  
cyjnych, miał w końcu 1965 roku  
przenieść się do nowo budowanego  
gmachu i stać się załącznikiem teatru  
narodowego. Jednakże podczas o-  
becnego kryzysu — na te finan-  
sowym i artystycznym — podało  
się do dymisji kierownictwo teatru,  
a wraz z nim główny reżyser —  
wybitny artysta Elia Kazan.

Pomimo niewatpliwych objawów  
poprawy, życie kulturalne w Ame-  
ryce wciąż jeszcze pozostaje pod  
przemocną presją biznesu.

Grzegorz Jaszuński

„Zawiadamiam Was,  
ze dzisiaj będą ścięta”

# Listy z „Neubau Königsberg”

„Moja Kochana Matko i Dzieci! Zawiadamiam Was, że dzisiaj, tj.  
15.4.43 — będę ścięta... Nigdy już do Was nie powrócę. Przebac mi,  
Kochana Mamo, jeśli byłam przyczyną trosk... Kochane dzieci, módlcie  
się często za moją duszę... A teraz, Kochane Dzieci, żegnam Was i ży-  
czę Wam wszystkiego dobrego jak również i Tobie smutna Matko —  
tak pisata do swojej rodziny Helena Dzieczkowska, młoda mieszkanka  
Suwałk w województwie białostockim, członek ruchu oporu. Areszto-  
wano ją za to, że w czasie rewizji w jej domu uderzyła żandarmu w  
twarz. Za to samo skazano ją na śmierć. 15 kwietnia 1943 roku Dziecz-  
kowska zginęła na gilotynie w więzieniu w Królewcu.

O królewieckim więzieniu wie się  
powszechnie niewiele. „Neubau Kö-  
nigsberg” nie było kombinatem śmierci  
z komorami gazowymi i kremato-  
riami w rodzaju Oświęcimia czy  
Majdanek. Było to zwykłe więzienie,  
wybudowane niedawno przed wojną,  
solidne, z frontonem ładnie wkomp-  
nowanym w sąsiednia, surową, pruską  
architekturę. W jego murach dokony-  
wano jednak zbrodni nie mniej po-  
twornych niż w innych hitlerowskich  
kajniach. Więziono tam głównie  
uczestników ruchu oporu z północ-  
nej Białostoczczyzny oraz Warmii  
i Mazur. Długo śledztwo, przepła-  
ne najwyszytniejszymi torturami ja-  
kie znało gestapo, kończyło się za-  
wyczaj sądem i wyrokiem śmierci.  
Krótka formalności sądowe prze-  
prowadzano jedynie po to, by ud-  
owodnić światu, że w III Rzeszy istnie-  
je praworządność i sprawiedliwość.

Z drugiej jednak strony hitlerow-  
cy nie kryli przed miejscową lud-  
nością, że więźniowie są straszliwie  
torturowani fizycznie i moralnie, że  
wyroki wykonywane są przez ścięcie  
na gilotynie, że skazanych na śmierć  
ubierano w specjalnie oznaczone  
ubrania, trzymając ich przy tym w  
niepewności, kiedy topór spadnie na  
ich szyję.

Miało to na celu zastraszenie lud-  
ności i złamanie jej oporu. Dlatego  
właśnie oprawy nakazywali wysła-  
nie z więzienia listów do rodzin  
skazanych, pamiętek w rodzaju pu-  
kła włosów, wycinka z ubrania, dro-  
biażków osobistych itp.

O zbrodniach hitlerowskich w  
„Neubau” informuje szczegółowo nie-  
wielka książeczka „Listy spod gilo-  
tyny” opracowana przez białostockiego  
dziennikarza, Aleksandra Omiljanow-  
icza, która ukazała się niedawno na-  
kładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Autor, choć był więźniem Króle-  
wca, oparł się w swojej pracy głównie  
nie na własnej pamięci, lecz na ory-  
ginalnych niemieckich dokumentach.  
Znajdujemy więc w „Listach” foto-  
kopie spisów więźniów, fotokopie ko-  
respondencji skazanych do ich rodzin,  
zdjęcia więźniów itd.

Z okazji pobytu Aleksandra Omiljan-  
owicza w Lublinie przeprowadziliśmy  
z nim krótką rozmowę.

— Proszę pana, „Listy spod gilotyny”  
ukazały się w 20 lat od czasu, kiedy  
wydarzyły się opisywane w nich fakty.  
Dlaczego tak późno?

— Okropności „Neubau” przeżywa-  
łem na własnej skórze. Były to dla  
mnie zbyt tragiczne wspomnienia, bym  
miał się do pisać na ten temat. Kie-  
dyś, w pierwszych latach po wojnie,  
ktoś spytał mnie, dlaczego nie napisa-  
łem nie o Królewcu. Odparłem wtedy,

że chyba nigdy nie będę miał dość siły,  
by wrócić pamięcią do tamtych dni.  
Bałem się też, że to, co napisałbym,  
byłoby zbyt subiektywne. Miałem na-  
dzieję, że zrobi to ktoś inny. Ale po-  
niważ tak się nie stało — a czas robi  
swoje — doszedłem do wniosku, że jed-  
nak taka praca powinna się ukazać.  
Starałem się pisać jak obiektywnie, bez  
wtarcia swych osobistych spraw.

Niemniej jednak muszę powiedzieć,  
że i poprzednio spraw tych nie pokry-  
łem całkowicie milczeniem. Byłem  
członkiem komisji zajmującej się ek-  
stradycją zbrodniarzy hitlerowskich do  
Polski. Na procesie Ericha Kocha  
przez 6 dni zeznawałem jako świadek.

— Wiem, że opublikował pan kilka  
innych książek o tematyce okupacyjnej.  
Proszę przypomnieć ich tytuły.

— W Wydawnictwie MON ukazały  
się: opowiadania „Partyzantki ścieżki”,  
powieść „Było to nad Czarną Ha-  
fczą” i opowieść dokumentalna „Agent  
„Karol 32”. Wydawnictwo „Olsztyn —  
Fojezierze” opublikowało „Wyrok” —  
opowiadanie o człowieku z AK współ-  
pracującym z wywiadem radzieckim.  
W Wydawnictwie Lubelskim ukazał się  
album „Ziemia Białostocka”, będzie  
to obszerny tekst z 450 zdjęciami il-  
strującymi martyrologię i ruch oporu  
w tym rejonie. Publikowałem też swo-  
je prace w wydawnictwach w ZSRR  
i NRD.

— A czy przygotowuje pan coś obec-  
nie?

— Zawodowe zajęcia w dziennikar-  
stwie bardzo absorbują, niewiele zo-  
stawiają czasu na pracę dodatkową.  
W każdym razie wszystkie wolne  
chwile wykorzystuję na zbieranie ma-  
teriału i pisanie o walce mieszkańców  
Białostoczczyzny oraz Warmii i Ma-  
zur przeciwko hitleryzmowi. Podobnie  
jak w innych częściach kraju tak i tu  
nie brakowało gorących patriotów,  
którzy gotowi byli poświęcić swe ży-  
cie dla wolności umiłowanej Polski.

Rozmawiał: R. Wiśniewski

## Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium. Redaktor naczelny: Marek Adam Jaworski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7. Telefon 36-45. Redakcja rękopisów nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwartał z 12, półrocznie z 24, rocznie z 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie z 16,80; półrocznie z 36,40; rocznie z 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuję PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-6-190024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-543. Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Grzeczka 4. Zam. 430. 4.11.65. 3000 H-3

# Wielki eksport

(Dokończenie ze str. 6)

E-Pall, Fidera „I znowu kusząca Kanada”, Pomianowski „Koniec i początek”, antologia sztuk 7 autorów: Kruczkowskiego, Mroźka, Różewicza, Szaniawskiego, Morstina, Hros, Kiewicza, Iwaszkiewicza.

W NRF: Kosiłkowskiego „Kłucz niebieski”, Nowakowskiego „Opowiadania”, Szencza „Maria Kalerzisz”.

W zakresie dramaturgii Agencja zawarła bądź finalizuje w ostatnim czasie umowy na wystawienie sztuk:

W CZECHOSŁOWACJI: Mroźka „Indyk”, Bystrzyckiej „Czy to jest miłość”, Jezewskiej „Warszawski Miś”; W SZWECJI: Abrahama „Licytacja”; W NRD: Jana Pawła Gawlika „Wybór”, Dygata „Jeziro Bałtyckie”, Wandurskiego „Śmierć na gruszy”, Drodzowskiego „Ballada polska” i „Hardy”; W ANGLII Bystrzyckiej „Czy to jest miłość”; W FINLANDII: Różewicza „Kartoteka”.

W FRANCJI polawi się w adaptacji Rehauma „Sen o Goldfadenie” i „Wielka wygrana”, na WĘGRZECH „Skandal w Hellbergu”, Broszkiewicza, w JUGOSŁAWII „Która godzina” Wojciechowskiego, „Zbrodnie i kara” Dostoiewskiego w adaptacji Z. Hübnera.

W radio czy telewizji zagranicę będą zrealizowane widowiska: Kruczkowskiego „Pierwszy dzień wolności” (Rzym), Broszkiewicza „Przygody Gullivera” (Jugosławia), „Ja i ty” Grodzkiej (Izrael), „Ruch” Szynulskiego (NRF), „Arkana” Nowickiego (NRD), Dobraczyńskiego „Listy Nikołema” (Argentyna).

Obok przytoczonych, już sfinalizowanych kontaktów, wobec zgłoszonych zainteresowań zagranicznych, Agencja prowadzi pertraktacje o przekłady książek: K. Brandysa, Kotta, Iwaszkiewicza, Kosiłkowskiego, Szaniawskiego, Putramenta, Parnickiego, Buczkowskiego, Infelda, Lutowskiego, Macha, Drodzowskiego, Skowronskiego, Promińskiego, Nowickiego, Morstina, Słomczyńskiego, Szmaglewskiej, Zukrowskiego i innych.

W zakresie muzyki działalność Agencji polega na zabezpieczeniu za granicą praw autorskich z zakresu muzyki poważnej i lekkiej, na organizowaniu

materiałów muzycznych do oper, komedii muzycznych i operetek, na udzieleniu licencji na druk polskich utworów muzycznych. I tak w ciągu ostatnich miesięcy m. in. zapewniono copyright dla 170 tytułów z zakresu muzyki poważnej i lekkiej na terenie USA, Kanady i Meksyku, a także udzielono licencji na szereg polskich piosenek za granicą.

Jak na pierwszy „zryw”, to plon na pewno niebagatelny. Warto jednak jeszcze przy tym zdać sobie sprawę z tego, że oprócz oczywistych funkcji z zabezpieczenia praw nieszłych artystów i ułatwiania kontaktów z zagranicą, czeka Agencję niemały trud mądrej propagandy spraw kultury polskiej w innych krajach.

Jerzy Gembricki

## Nie poznaję tych stron...

(Dokończenie ze str. 7)

„missini” i mnóstwo innych. Jest tego cały plankton. „Zoollityka” to stworzony przez mnie neologizm pochodzący od „zoologia polityczna” — „zoopolityka” — „zoollityka”, termin oddzielający tych ludzi od człowieczeństwa. Bodźcem do napisania tej książki stała się dla mnie tocząca się nadal dyskusja nad przedawnieniem zbrodni hitlerowskich lansowanym przez Bonn. Jak można mówić o przedawnieniu, skoro bakiły te choroby wciąż jeszcze krążą w świecie?

Druga napisana przeze mnie książka to „Francuzi” — esej o codziennym

życiu tak zwanych „szarych ludzi” we Francji.

Obie powinny się ukazać w lutym — marcu 1965 roku.

Chciałbym dodać, że pracuję też nad osobistymi wspomnieniami dziennikarskimi korespondenta zagranicznego, którym byłem całe lata, a także przygotowuję już do druku tom opowiadań. Wszystkie te książki ukazały się nakładem wydawnictwa MON poza „Francuzami” wydawanymi przez „Czytelnika”.

Rozmawiał: Zbigniew Wawszczak

# Podłuchane Podpatrzone

Prof. dr. Konstanty Strauwiński, znany lubelski zoolog, kupując coś w „Delikatessach” zainteresował się emblematem przyklejonym do fartuszka usługującej mu młodzieńkiej ekspedientki.

— De-li-ka-te-sy!  
— E, i po cóż to pisać — popatrzył prof. Strauwiński na ekspedientkę. — Toż to wystarczy tylko spojrzeć i widać, że to delikatesy.

Na jednym z zebrań w Lublinie poznano się dwóch młodych panów. Przedstawiają się:

— Mickiewicz jestem.  
— Sienkiewicz jestem — odpowiada drugi.

Wszystko się zgadza. Jeden jest działaczem organizacji młodzieżowej, drugi związkowcem zawodowym.

W ROKU STULECIA URODZIN TETMAJERA, jak widac z informacji „Zycia Literackiego” (nr 4 i 5), ani PIW, ani „Czytelnik”, ani inne wydawnictwa nie pomyślały o wznowieniu na pewno już dawno wyczerpanego „Na skrajach Podhalu”, „Legenda Talr” i „Kocia epopei”, ani o wydaniu nie przypominanej po wojnie powieści „Romans panny Opolskiej z panem Głównakiem”. A może Wydawnictwo Literackie ma Tetmajera w planie na rok bieżący?

75-LECIE URODZIN KAROLA CAPEKA przypało w styczniu br. Świątecznego piątku czeskiego tłumaczono u nas już w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Jego trylogię: „Hordubal”, „Meteor” i „Zwyczajne życie” przełożył Paweł Hulka Laskowski. Znane są też w Polsce jego fantastyczne powieści i niektóre sztuki wystawiane w naszych teatrach, prawie wcale natomiast nie wie się o jego listach i obrazkach z podróży (Włochy, Anglia, Hiszpania, Holandia, Skandynawia) i niewiele o „Apokryfach” i „Bajkach”.

MIŁOŚNIKÓW POEZJI BŁOKA zainteresuje wiadomość, że niedawno ukazało się osmiotomowe wydanie Dzieł Wszystkich poety, które subsydiowało 200 tysięcy osób. W Orłow przypomina, dla porównania, że pierwszy zbiorek Błoka „Wiersze o Pięknym Damie” wyszedł w r. 1904 w nakładzie 1200, a trzeci tom jego poezji w r. 1916 w liczbie

4000 egzemplarzy. Był to największy nakład utworów tego poety w Rosji przerwanej wojny.

BUHAZA W SZKLANIE WODY. W numerze z „Poityki” ukazał się list protestacyjny grona czytelników tego pisma oburzonych charakterystyką Paderewskiego we fragmencie pamiętników Chapińskiego. „Zycie Literackie” (nr 4 — „Zwycięzca”) — „Zielona Gęś” skądś nie wykpiło styl tego listu, który brzmi zupełnie, jak jeszcze jeden fragmentek wybornej satyrycznej twórczości Galińskiego. W nrze 1 „Poityki” czytamy z kolei antylist jednego z czytelników, który wyrażając ów protest przypomina odrażające Mickiewicza przez Boya, anegdota o Paderewskim, „wielkim pantoflarzu” zaszywane od byłego jego adiutanta, Racja. Do tego wszystkiego można jeszcze dodać wspomnienie „Fundator pomnika granwaldzkiego” w książce „Niepospolite ludzie” Grzymały-Siedleckiego. Ale autor kończy swój antylist takim oto zdaniem: „Dłaczego napisanie o wielkim pianinie, że wyciągnęło mu się chętnie stółek spod siedzenia musi być zaraz zripostowane odsądzeniem od czci i wiary (?) człowieka, którego nazwisko brzmiał w świecie kulturalnym wcale nie gorzej (?) od nazwiska naszego wielkiego pianisty”. A więc znowu obrona „świętości” tym razem u reboursa.

TELEBLEDY. W poprzednich notkach wspominałem o telewizyjnej ortofonii.

# NOTY

Z kolei należy przytoczyć z uporem powtarzane urbi et orbi błędy językowe: „odpowiedzi na pytanie, które język od państwa słyszał”, „korespondentka, którą jesteśmy omówili”, „ostatni wniosek, o którym jesteśmy tu mówili”. Ta porcja „języków” urządził nas pewien dziennikarz w audycji sylwestrowej. Ale nie on tylko. W telewizyjnej „mieszanka firmowa” (28.XII.61) słyszymy takie zdanie: „bardzo jesteśmy się wszyscy zmartwił”. W programie dla swi (31.12.61) wpadło nam w ucho: „Jakie zwierzęta powinny być szczepione” (tak kilkakrotnie albo „powinno”, albo „winno”). Poza tym zarówno w telewizji, jak i w radiu zamiast „czekać na kogoś”, przeważnie „oczekuje się na kogoś”. „Oczekujemy na film” (lektor wiadomości DTV 21.12), „Misiśmy przepraszyć państwa, którzy oczekiwali na...” (prowadzący „Trampa” 19.12), a w radiu 27.12. w południowej audycji „Z kraju i ze świata”: „Oczekujemy na pierwszego sekretarza”. A jak się państwu podobają „odnaczela im i le nie m Janka Kraskiego”? (DTV 21.XII).

-kaj-

## KAROL CAPEK

# Urywki

- Szczerłość: Ja nikogo nie obmawiam, ja tylko mówię, co myślę.
- Nacjonalista: Pal diabli naród; nam chodzi tylko o jego prestiż.
- Jestem stuprocentowo przeświadczony... Panie, a nie mógłbyś trochę opuścić?
- Solidarność: Mój bratanek to lajdak, ale jeśli powie to o nim kto inny, obrazi tym honor naszej rodziny.
- Krytyk: Krytykować, to znaczy dowodzić autorowi, że nie robi tego tak, jak robiłbym to ja, gdybym potrafił.
- Jedna z największych klęsk cywilizacji: uczonej dureń.
- I rewolucyjność ma swoich pedantów.
- Wyobraźcie sobie tę ciszę: gdyby ludzie mówili tylko to, co wiedzą.
- Walkę stworzyła natura, nienawiść wynalazł człowiek.
- I na zgłiszczach ktoś grzeje swoją żupę.
- Umowy są po to, aby ich przestrzegali słabsi.
- W interesie pokoju wystąpili z całą energią przeciw napadniętemu.
- Tylko mali ludzie walczą o prestiż; wielcy go mają.
- Stary zakon ma rację: czasem się mury walą od samego krzyku. Ale samym krzykiem nie się nie zbuduje.
- Nowymi ludźmi są tylko ci, których stać na nowe zadania.

Przełożył Stefan Orczyk



Rys. Ludwik Paczyński

## Proszę państwa

Postęp techniczny itd. Co w tym „itd”? Również coś takiego, co się nazywa „normami technicznie uzasadnionymi”. Wprowadza się je do przemysłu, żeby lepiej wykorzystać istniejące siły produkcyjne. Owszem, te „technicznie uzasadnione” są wyższe od zwykłych, często nie określonych „dniówkowych”, ale w konsekwencji mają na celu lepsze dostosowanie stopnia produkcji do stopnia rosnących potrzeb.

Na czym polegają? Czy na wzmóceniu wysiłku mięśni? Nie, na lepszej organizacji pracy, na wyeliminowaniu pustych odcinków czasu, na ścisłym zestrojeniu poszczególnych ośrodków produkcji.

Wprowadza się je z powodów w drugiej połowie dwudziestego wieku raczej oczywistych. Szkoda tylko, że atak na maksymalne wykorzystanie tego surowca, jakim jest czas, prawie wyłącznie ograniczył się do przemysłu. Pewnie, tam najłatwiej. Postoi spec inżynier ze stoperem przy tokarce i już ma normę czasu na obróbkę elementu. Trudniej gdzie indziej. Co nie znaczy, że magazjstwo, żółwie tempo, „praca” na zwolnionych obrotach jest nie do uchwycenia w innych dziedzinach. Jest do uchwycenia, aczkolwiek nie stoperem. Nerwami. Poczućm sensowności.

Dotąd była „publicystyka”. Spójrzmy na konkrety. O! biurowe okienko. Krzysztof Teodor Toeplitz wylczył w „Kulturze” (22.XI.64), ile czasu społecznie użytecznego marnuje się często przez brak okienka drugiego. Wychodzą

dzi... 92 lata miesięcznie w skali krajowej. Na jedno potrzebne, a nie otwarte okienko — na koleji, na poczcie. To mówi sama arytmetyka. Ale nie arytmetyka załatwi. Bo można zainstalować drugie i trzecie okienko z tym, że wszystkie staną się zgodnie

kolejowy rozlały i opieszały celujący zdaje egzamin z energii. Z muchy wyfruwa osa. W łol znalazł się i bystrość orientacji i konsekwencja argumentów i szybkość w ripostach — wszystko, czego zabrakło w toku urzędowania „wygrużone” na głowę prze-

nej jednostce ludzkiej. Śmiało pacjent ze wstydliwą chorobą wchodzi do lekarza, niż potent staje przed obliczem podreferenta. A ileż wycucia musi wykazać, by trafić akurat w złoty środek między skromnością, która może nie zwrócić na siebie uwagi, a skwapliwym oddaniem się pod opiekę, co może być uznane za natręctwo. W ten sposób jeśli nie wprost kradną ci czas „konwencjonalnym” ślamazarniem przy okienku, to wymuszają na tobie ten menuciłek poczekałniano-gabinetowy, do którego musisz jeszcze dopasować ukontentowaną minę. Po prostu wejdziesz? Po prostu przedłożysz? Nie tylko sprawa weźmie w łeb, ale i hańba matce, co nie wdroyła za młodu elementarnych zasad dobrego wychowania.

Zebrać te minuty, te godziny, te lata... Już nie mówmy o wieżowcach, które by można przez ten czas zbudować. Ale ile z tego dałoby się wykroić choćby wezasów? O! za darmo. Bo jak w postępie technicznym — rzecz nie w tym, by wpędzić pracownika w opętaneją zalopkę, ale w tym, by sensownieją zagospodarować materialem czasu. Ileż z jego odpadków marnotrawionych przy okienkach i w poczekałniach dałoby się osiągnąć produkcji ubocznej! I ile oszczędności w nerwach! Tego już nie uchwyci żadna buchalteria...

A swoją drogą, clarki mnie przechodzą na myśl, co musiałbym zrobić, gdybym chciał złożyć niniejszy felleton jako podanie.

# Czas przeszły zmarnowany...

kooperującymi stanowiskami do marnowania czasu. Tu ci odrząca formularzyk, tam skierują po niekonieczny podpis, ówdzie wyczekasz się na sekretarkę, która przy okazji udania się po plecak (czynności służbową) zabierze o pięć kolejezanek w sprawie ostatnich nowin od fryzjera. Nieograniczona pomysliwość maszyny biurokracyjnej na rzecz jeśli nie całkowitego spławienia klienta, to przynajmniej wystawienia go do wiatru. Znamienne, że w wypadku jakiegokolwiek protestu przeciwko tego rodzaju praktykom znajdzie się tysiące oczywistych powodów na ich poparcie. Wtedy biurowy

ważnie odosobnionego interesanta. I wyjdiesz, przyjacielu, jak Zabłocki na mydle.

Bo biuro oprócz podania i załącznika wymaga odrobiny posławy służalczej. Ta zawsze jest mile widziana i potrafi skompensować nawet formalne braki w papierkach patenta. Nie wazy sam przedmiot, pragmatyczny tok sprawy. Musisz jeszcze zaszcześcić przy kłamec (pukanie? to będzie „bafas”), wejść na lekko resorujących nogach, zagrać na intruza, który liczy na wielkoduszność dygnitarza może akurat mającego humor przyjrzyć się ulom-